#### NOWOŚCI ILLUSTROWANE

**Prenumerata kosztuje:**
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

**Wychodzi każdej soboty.**
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

**Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).**

Rok I. Kraków, 10 grudnia 1904 r. Nr. 11.

# Śmiertelna zabawka.



(Do artykułu na str. 4).

**Numer ten zawiera 24 stronic druku!**

**Handel czcią ludzką: Frischauer-Włodzimirska-hr. Milewski z 7-miu illustracyami.**



# KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Wzruszona i przerażona chciała uciec, lecz Zosia i Sabinka zbliżyły się do niej, patrząc na nią załzawionemi oczami.

— O, moje biedne małe! — rzekła. — Pragnę wam nieść pomoc. Niech babka wasza pozwoli, bym uczyniła dla was to, co uczyniłabym dla moich własnych dzieci, gdybym je posiadała... gdybym je mieć mogła. Nie mam dzieci. Jestem starą panną i za mąż nie wyjdę nigdy. Niech więc babcia mi pozwoli was kochać. Chciałabym was obie... i waszego braciszka... który wlepił we mnie oczy, ale lęka się przystąpić do odepchniętej i wypędzonej... pragnęłabym was wychować, otoczyć macierzyńską opieką, przenieść do domu mego ojca...

— Nie, nie!... Wyjdź pani stąd i niech noga tu twoja więcej nie postanie! — krzyknęła znowu ślepa. — Jesteś córką Piotra i siostrą Kazimierza Molskiego, którymi pogardzam, których przeklinam... Wszystkich was nienawidzę!... Rozumiesz pani, nienawidzę... Wyjdź!... wyjdź stąd czemprędzej!

Dziewczynki przypadły do kolan ledwie dyszącej babki zaczęły ją uspokajać pieszczotami.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Eugenia zbiegła ze schodów na wskróś przejęta okropną sceną.

Karetka czekała na nią przed bramą. Powiedziała stangretowi, żeby odjechał, bo ona pójdzie pieszo do domu... Potrzebowała powietrza! Czuła, że musi iść, poruszać się, ochłodzić na mrozie pożerającą ją gorączkę, ukoić ból ściskający jak w żelaznych kleszczach biedne jej serce.

Mróz zwolnił nieco. Od czasu do czasu wiatr, nadlatujący od Wisły, zganiał drobne płatki wirującego w powietrzu śniegu, w gęsty, kłębiący się tuman, który następnie opadał wśród chwilowej ciszy, pokrywając bruk i chodniki szklącą się, białą powłoką.

Płomyki gazowe migotały w latarniach jaskrawym blaskiem.

Pod jedną z nich, na rogu Chmielnej i Nowego Świata, panna Molska — przeciskając się ostrożnie w pośród licznych w tem miejscu przechodniów — zatrzymać się musiała nagle przed zagradzającą jej drogę młodą osobą, z pakietem pod pachą, która na widok Eugenii krzyknęła radośnie:

— Genia!

— Frania! — odpowiedziała zatrzymana nieco ciszej.

Franciszka i Eugenia znały się oddawna. Zaprzyjaźniły się jeszcze na pensyi. Nazywano je niegdyś — jak małe, zielone papużki — „nierozdzielnemi“. Tak było istotnie, aż do chwili, w której Frania przestała należeć do tak zwanego „wyższego towarzystwa“, wyłączona z niego przez niespodziane ubóstwo i jakąś niepojętą, a przez warszawskie plotkarki nie zbadaną tajemniczość istnienia, która w świecie szczęśliwych zmieniła dawniej okazywaną jej uprzejmość i życzliwość, na obojętność, powolne oddalanie się i w końcu na zupełne zapomnienie. Eugenia jednak, dobra i tkliwa, nie ulegająca samolubnym wpływom wielkomiejskiego społeczeństwa, okazywała zawsze Franciszce — o ile kiedy niekiedy się spotykały — dawną serdeczność. I teraz, pomimo moralnego zgnębienia, w jakiem pozostawała jeszcze, powitała ją przyjaźnie.

— Wstąp do mnie, choćby na chwilę — rzekła Frania. — Mam ci tyle do powiedzenia... wprawdzie nie wesołych rzeczy, lecz z któremi oddawna pragnęłam ci się zwierzyć, bo ty jedna masz zacne serduszko i pewno mnie pocieszysz.

— Chętnie, moja droga... jeśli tylko potrafię.

Wolnym krokiem przesunęły się, w poprzek ulicy, pomiędzy pędzącymi w lewo i prawo powozami i dorożkami, na chodnik przeciwległy i idąc Nowym-Światem dotarły do Ordynackiej. Tu — za cyrkiem — zatrzymały się przed domem o skromnej powierzchowności i weszły na trzecie piętro. Frania wyjęła klucz z kieszeni i drzwi do swego pokoiku otworzyła.

— Wejdź! — prosiła. — Zaraz lampę zapalę.

W chwilę potem siedziały przy stoliku, nakrytym kolorową serwetą, na którym Franciszka przyniesiony z sobą pakiet położyła.

— To robota zamówiona u mnie, hafty do wyprawy dla pięknej i bogatej żydówki, która wkrótce wychodzi za mąż — rzekła Frania, wskazując na zawiniątko. — Zmęczona jestem chodzeniem, a jeszcze bardziej czekaniem na obstalunek... Pozwól, że odpocznę momencik.

Franciszka Bogajewska liczyć mogła najwyżej lat dwadzieścia siedm do dwudziestu ośmiu. Musiała być niegdyś bardzo piękną, lecz praca i zmartwienia zmieniły ją widocznie bardzo. Twarzyczka wydawała się zwiędłą, jak kwiat jesieni zwarzony przedwczesnym mrozem. W czarnych oczach dostrzedz było łatwo wielkie znużenie, wywołane bezsennie spędzonymi nocami nad pracą. Blask ich przyćmiły łzy, któremi często zalewać się musiały.

Umeblowanie schludnej izdebki, pomimo kilku cenniejszych drobiazgów, przypominających dawniejszą zamożność, świadczyło o niedostatku.

Lokatorowie całego domu szacunkiem otaczali młodą kobietę, zawsze czarno ubraną i zawsze smutną.

— Cieszę się bardzo, żeś do mnie wstąpiła — rzekła dźwięcznym głosem. — Od dni kilku tak mi jakoś ciężko na sercu, że rady sobie dać nie mogę. Prawie co dzień wybierałam się do ciebie, lecz za każdym razem odwiedziny moje odkładałam na później, bo powiem ci szczerze, boję się twego ojca.

— Ojciec mój nie zna cię, moja droga, bądź jednak przekonaną, że moją, tak dobrą, jak ty przyjaciółkę, przyjmie życzliwie.

— A może na jego życzliwość nie zasługuję!.. Zresztą, nie robię sobie złudzeń; wiem, że muszę żyć w samotności. Ty jedna pocieszałaś mnie nieraz, wzbudzając w sercu mojem wiarę i otuchę.

— Dziwić ci się nie można, że często tracisz ufność w ludzi, mało bowiem kto przeżył tyle zawodów...

— O, tak! życie nie karmiło mnie słodyczami. Wlekło się prawie ciągle czarnem pasmem smutków i rozczarowań.

— A jednak praca cię uspokaja i krzepi. Już w czternastym roku życia ciężko pracowałaś. To też wzbudzasz w tych, co cię dobrze znają, cześć prawdziwą. Ja przynajmniej z najgłębszem uznaniem pochylam przed tobą czoło.

— Ba, moja Geniu, ty znasz tylko lata mojej pierwszej młodości; nie wiesz, co następnie przecierpieć musiałam... Ach, raz nareszcie wyspowiadam się przed tobą! czuję bowiem gwałtowną potrzebę wyjawienia ci moich udręczeń ukrywanych dotąd w piersi.

Wzięły się za ręce i zbliżyły do okna, wychodzącego na ulicę. Przysłaniała je skromna, biała, muślinowa firanka.

— Jak widzisz w pokoiku tym mogę pracować swobodnie, bo ulica cicha — mówiła Bogajewska. Czasem tylko, wieczorem, dolatuje do mnie gwar publiczności, oraz turkot powozów i dorożek, wyruszających z pod cyrku po przedstawieniu... a jednak nie mam spokoju ani na chwilę.

— Jak dawno tu mieszkasz?

— Od czasu, jak jestem sama.

— Sama, przecież jesteś od śmierci rodziców, którzy osierocili cię, straciwszy całe swoje mienie.

— Tak... lecz ojciec, resztą kapitału, jaka mu pozostała po sprzedaży ziemskiego majątku, spekulował jeszcze czas jakiś w Warszawie. Zrujnowany w końcu do szczętu w przedsiębiorstwach budowlanych, o których nie miał pojęcia, zakończył życie samobójstwem... — Otarła łzę kręcącą się w oczach. — Mama, w parę tygodni potem rozchorowała się z rozpaczy — i umarła.

Zamilkla na chwilę, wzruszona bolesnem wspomnieniem. Następnie ciągnęła dalej:

— Ze sprzedaży pozostałych ruchomości doręczył mi nasz adwokat trzysta rubli. W domu, w którym mieszkaliśmy, całe pierwsze piętro zajmowała modniarka, podejmująca się wielkich robót konfekcyjnych i bielizny damskiej na export do odległych gubernii rosyjskich. Założyła przytem i szkołę haftu. Dowiedziawszy się, że posiadam trochę pieniędzy, zaproponowała mi, żebym je u niej ulokowała, przyrzekając, że wzamian kształcić mnie będzie w swoim fachu. Przystałam... Byłam wówczas, jak wiesz, bardzo młoda i niedoświadczona. Wtedy ty, wyjechałaś z matką zagranicę. Straciłam cię z oczu na lat kilka.

— Wiedziałam o tem wszystkiem.

— A prawda! już ci to raz opowiadałam. Proszę cię jednak, nie przerywaj mi... Czuję ulgę, gdy mówię z tobą o moich nieszczęściach...

Słucham cię!... słucham z uwagą, moja biedna Franiu.

— Życie moje stało się pasmem ciągłych męczarni! Wyzyskana niegodnie, często umierająca z głodu, bo moja chlebodawczyni skąpiła mi nieraz najskromniejszej strawy, używaną byłam na posyłki i od rana do wieczora biegałam z pudełkami, niekiedy bardzo ciężkiemi, na pocztę, na kolej, do sklepów i do miejskich klientek. Dorywczo tylko, prawie bez wskazówek, uczyłam się sama szyć i haftować... Tak upłynęło dwa lata. Pewnego wieczora, w czasie gwałtownej ulewy... Słuchaj mnie, droga moja uważnie... gdy przechodziłam przez plac teatralny, niosąc robotę, najechała na mnie niespodzianie pędząca z pod handlu Stempkowskiego dorożka. Zmartwiała od strachu, zdołałam zaledwie umknąć się jej z drogi i wyskoczyć na chodnik, skwer otaczający. Pudło z rąk mi wypadło. Deszcz przemoczył mnie do nitki. Stałam oszołomiona, bezradna, nie wiedząc co począć. Wtem, jakiś słodki głos szepnął mi do ucha: „Co ci jest mała? Pobladłaś... Czyś chora?“ Podniosłam oczy i ujrzałam przed sobą człowieka trzydziestoletniego, patrzącego na mnie z dobrocią. Schylił się, wziął pod ramię pudełko, przywołał dorożkę i wsadził mnie do niej... Zanim zdołałam sobie zdać sprawę co się stało, jechałam już z nieznajomym ku Alejom. On, widząc moje wzruszenie, przemawiał bardzo grzecznie i mile. Mówił, że mógłby być prawie moim ojcem, więc nie mam powodu go się lękać, a gdy wskazałam mu adres mojej chlebodawczyni, odwiózł mnie przed dom przez nią zamieszkany i pożegnał przyjaznem uściśnieniem ręki...

— Uczciwy człowiek! — szepnęła Genia.

— W ciągu kilku miesięcy spotykałam go codziennie na mojej drodze. Zbliżał się do mnie, zawsze smutny i bardzo uprzejmy... a ja powoli przyzwyczaiłam się do niego tak, że gdy pewnego dnia się nie zjawił, uczułam się tem boleśnie dotkniętą. To też ucieszyłam się całem sercem, gdym go nazajutrz ujrzała oczekującego na mnie przed naszym domem. Wówczas zrozumiałam, że go kocham... On mnie pokochał także... a przynajmniej tak mówił... Byłam sama na świecie, bez opieki, bez wsparcia, bez przyszłości, więc uwierzyłam w miłość Bogajewskiego... i zostałam jego żoną. Wzięliśmy ślub w kościele św. Aleksandra. W ciągu kilkomiesięcznego z nim pożycia czułam się na wyraz szczęśliwą... aż do przeklętego dnia, w którym...

— Mów!... mów dalej!

— Aż do dnia, w którym dowiedziałam się, że ubóstwiany przezemnie mąż, był nicponiem i szulerem...

— Czy być może?

— Zgrywał się codziennie, nieraz do ostatniego rubla, w resursach i pokątnych szulerniach. W domu naszym zapanowała bieda i niedostatek... a ponieważ potrzebował ciągle pieniędzy na zaspokojenie swej ohydnej namiętności, podpisał kilka weksli znanemi nazwiskami ludzi bogatych...

— I cóż? i cóż?

— Fałszerstwo stwierdzono wkrótce. Wtedy aby nie stawać przed sądem, uciekł z Warszawy, pozostawiając mnie w najokropniejszej nędzy...

— I nigdy już potem do ciebie się nie zgłosił?

— Nigdy.

Zapanowało długie milczenie.

Eugenia, mocno wzruszona, uścisnęła serdecznie ręce przyjaciółki, która otarłszy łzy cisnące się do jej oczu. mówiła dalej:

— Wówczas to najęłam ten pokoik, aby w nim ukryć wstyd i boleść moją... a teraz koję zmartwienie ciężką i wytrwałą pracą.

— O, moja Franiu! ten człowiek zasługuje na karę. Mam w Bogu nadzieję, że będziesz pomszczoną.

— Nie pragnę zemsty... chciałabym tylko zapomnieć...

Eugenia powstała z krzesła.

— Moja droga — rzekła — żal mi cię bardzo, bo widzę, że go kochasz jeszcze. Bądź pewną, że teraz, gdy wiem o wszystkiem, często tu przyjdę, żeby cię pocieszyć... Mówić będziemy o szczęśliwych dniach naszego dzieciństwa...

— Zastaniesz mnie zawsze po południu! Urządzę się tak umyślnie, żeby z rana przynosić i odnosić robotę.

— Ale teraz, pozwól mi, żebym ci chwilowo, w miarę środków, dopomogła. Przyjmując sprawisz mi wielką przyjemność. Nieraz nie wiem, co mam zrobić z pieniądzmi.

— Dziękuję ci. To co zarabiam, na życie mi wystarcza... Chciej jednak wierzyć, że za twoje dobre serce jestem ci bardzo wdzięczną... bardzo, bardzo wdzięczną!

— Ile zarabiasz?

— Haftując bieliznę na wyprawy dla bogatych panien, w ciągu dwunastu godzin... jeśli nie stracę ani minutki napróżno... mogę zarobić od pół rubla do siedmdziesięciu kopiejek dziennie...

— Moja biedna Franiu!

Lecz pracując w ciszy i samotności wspominam czasy, gdy byłam jeszcze w domu rodziców, którzy mnie kochali, pieścili... a może i psuli, nie zaprawiając do trudnej walki z życiem... i dzień po dniu, chociaż smutny, mija prędko... niemal niespostrzeżony...

Późno już było.

Eugenia uścisnęła serdecznie Bogajewską i zbiegła z trzeciego piętra, aby wsiąść do dorożki i powrócić do domu.

XII.

Ostatnie dni stycznia pokryły dachy domów warszawskich grubą, białą oponą.

Od dni kilku trwające zawieje zasypywały śniegiem ulice, z którym stróże nie mogli sobie dać rady, chociaż odgarniali z chodników kilka razy dziennie.

Około pierwszej popołudniu, wśród nierównych i głębokich mas posuwał się jednokonny karawan, na którym spoczywała na czarno pomalowana sosnowa trumna. Złożono w niej zwłoki biednej Klary, której duch przed dwoma dniami uleciał w krainę wiecznego słońca. Za karawanem postępowali powoli: stara kobieta i troje dzieci.

Babka, podtrzymywana przez bladego jak śmierć Janka, i obie dziewczynki, zgnębione i z sił wyczerpane, dowlokły się z trudem na cmentarz, gdzie we wspólnej mogile ubogich pochowano ciało suchotnicy. Oni — tych czworo — stali czas jakiś przy grobie, milczący, jakby senni, wstrząsani od czasu do czasu zimnym dreszczem, a łzy zamarzały im w oczach i na twarzy.

Pierwsza ocknęła się ślepa.

— Chodźmy dzieci, chodźmy — rzekła. — Matka wasza jest szczęśliwą... już nie cierpi.

Późnym wieczorem, o zmroku, wrócili na Chmielną.

Przed bramą czekał na nich stróż.

— Więc rzecz postanowiona, proszę paniusi, jutro paniusia się wyprowadzi.

— Tak — odparła Żarska.

— Och, gdyby człowiek prosty, jak ja nieprzymierzając, był kamienicznikiem, to Bóg świadkiem, nigdybym paniusi nie wyrzucał. Dałbym wam jedną stancyjkę nie dużą, ale nie wziąłbym za nią ani grosza. Moglibyście do śmierci siedzieć w niej sobie spokojnie.

Staruszka wyciągnęła rękę i milcząc uścisnęła spracowaną dłoń stróża.

Powrót do mieszkania, oświetlonego małą, kuchenną lampką naftową, był dla niej bardzo przykry. Prawie wszystkie meble, za zezwoleniem właściciela domu, który koniecznie chciał się pozbyć nieszczęśliwych lokatorów, sprzedane zostały z kolei, jeden po drugim. Dzięki tym sprzedarzom nędzarze mieli co jeść czas jakiś, a ślepa odłożyła nawet nieco grosza na przeniesienie reszty niezbędnych sprzętów do innego mieszkania i na opłacenie kosztów przeprowadzki.



...posuwał się jednokonny karawan...

— Co jednak będzie potem? — myśli staruszka, przesuwając się jak cień po pokojach i macając rękami, czyby nie dało się znaleźć jeszcze czegoś na sprzedaż. Pamięta dobrze miejsca, w których stał każdy mebel, a gdy go nie znajduje, szepce cicho:

— Wyniesiony... sprzedany.

Dotykając pustych, zimnych ścian zgorączkowaną dłonią, czuje, że prawie nic niema. Pozostało tylko wspólne łóżeczko Zosi i Sabinki — i siennik, na którym ślepa sypia wraz z Jankiem.

Wróciła do jadalni, w której dzieci tulą się do ledwie letniego pieca. Siadła na jednem z dwóch pozostałych krzeseł, tak zniszczonych, że żaden z handlarzy nabyć ich nie chciał.

Woła do siebie Janka.

Chłopiec posłyszawszy jej głos — zadrżał. Domyślił się, że staruszka ma mu powiedzieć coś bardzo ważnego, więc uczuł zimny pot występujący na czoło. Zbliżył się do ślepej.

— Co babunia rozkaże? — zapytał.

— Nie nazywaj mnie babunią! — odburknęła Żarska tonem ostrym i surowym. — Wiesz przecie, że babką twoją nie jestem. Mówiłam ci to nieraz.

— Ale pani mnie wychowała — szepnął Janek smutnie.

Stara zamilkła. Wyciągnęła ręce i położyła je na pomierzwionej czuprynie chłopaka, który pod tem dotknięciem zatrząsł się, jak w febrze.

Co ona mu powie? Dlaczego milczy tak długo?

Kurczy się i zęby zaciska, czuje bowiem, że w wyrazach, które usłyszy, zawarty będzie jakiś groźny wyrok.

— Nie mogę zatrzymywać cię dłużej. Musisz nas opuścić i szukać środków zarabiania na życie. Nie wiemy same, co się z nami stanie, nie chcę więc pociągać cię z sobą w naszą nędzę. Jesteś nam obcy. Nie powinieneś podzielać naszej hańby, ani naszej niedoli.

Janek milczy z głową spuszczoną na piersi.

Wtem odgłos dalekich dzwonów kościelnych, wzywających na „Anioł Pański“ obija się o uszy wszystkich. Staruszka, jakby bezwiednie kreśli znak krzyża świętego na piersi. Sabinka i Zosia przystępują do okna, żeby lepiej słyszeć czarowne dźwięki, a chłopiec, chociaż ich melodya zdaje się nim kołysać, nie rusza się z miejsca i stoi wciąż przy Żarskiej.

Dzwony cichną po chwili.

Ślepa — już tkliwiej i serdeczniej — mówi dalej:

— Nie miej do mnie żalu, mój Janku, za to, co powiedziałam. Gdybyś wiedział i rozumiał, jak bardzo biedni jesteśmy!

— Dokądże ja pójdę? — jęknął dzieciak, składając ręce, jak do modlitwy. — Taki słaby jestem... Co pocznę?

— Tu byś umarł z głodu. Ostatnia nędza czyha na nas. Wkrótce zabraknie nam może nawet suchego chleba. Masz już lata, w których inni pracują na utrzymanie... Od jutra, pójdź poszukać dla siebie roboty... Postaraj się, a znajdziesz.

— Poszukam — odpowiedział chłopiec.

Nie protestował, nie bronił się, nie rzekł więcej i słowa, tylko zasunął się w najciemniejszy kąt pokoju, usiadł na podłodze i twarz ukrył w dłoniach. Sabinka i Zosia do niego przybiegły. Tyle szczerego smutku dostrzegł w ich załzawionych oczach, że pierś mu wdzięcznością wezbrała. Serce Janka bić zaczęło gwałtownie, a bicie to sprawiło mu nieopisaną rozkosz.

Obie dziewczynki pieściły go i całowały, jakby przybranemu braciszkowi wynagrodzić chciały boleść, przez babkę zadaną. Ona zaś, odgłosem ich pocałunków wzruszona i już żałująca słów wyrzeczonych, przywołała do siebie wszystko troje i razem przycisnęła do łona.

— Byłam szaloną! — szeptała — tak, szaloną! Przebacz mi Janku. Nie, nie, nie! domu naszego nie opuścisz, gdziekolwiek bądź się przeniesiemy. Nie rozstaniesz się z nami nigdy... nigdy!

Dzieciak rzucił się w objęcia ślepej i przebaczył — lecz nie zapomniał.

Myśl, że jest ciężarem dla istot najdroższych, trwogą i smutkiem napełniła jego duszę. Całą noc nie mógł zmrużyć oczu. W mózgu wątłego dziecka budziły się wątpliwości i skrupuły. Wyrzucał sobie, że dotychczasową bezczynnością zwiększył ciężar utrzymania rodziny.

Zaciśniętemi kurczowo pięściami otarł łzy, spływające mu po twarzy i zadumał się głęboko.

Wyrazy babki wryły się w jego sercu ognistemi zgłoskami i wypaliły w niem ranę, która nie rychło się zagoi.

Ha! niema rady, trzeba „swoich“ opuścić i iść w świat szeroki.

Ciąg dalszy nastąpi.

## Śmiertelna zabawka.

(Do illustracyi tytułowej.)

W nieszczęśliwych wypadkach i katastrofach wszelkiego rodzaju, zdumiewającym jest procent, przypadający na małoletnich, jako ofiary i sprawców.

Kroniki wielkomiejskich dzienników przepełnione są notatkami o śmiertelnych upadkach z okien, o spłonięciu żywcem, utonięciach i otruciach dzieci. Główną winę ponoszą tu bezsprzecznie ci, którym opieka i dozór nad małoletniemi jest poruczoną. Zdaje się rzeczą zupełnie prostą i naturalną, że rodzice powinni mieć na tyle rozumu, by wychodząc z domu, nie pozostawiali swych dzieci przy otwartych oknach, palącej się lampie, by nie dozwalali im bawić się nożem, zapałkami itp. A jednak jak często wykraczają ci lekkomyślni ojcowie i matki przeciw tym elementarnym zapobiegawczym środkom ostrożności! Słusznie też w takich wypadkach wkłada prawo na nich odpowiedzialność za wszelkie możliwe następstwa, stosując do nich surowy rygor ustawowy — za pozostawienie dziatwy bez dozoru i czyniąc ich niejako moralnymi sprawcami nieszczęścia.

Inna jest kwestya, że dozór ten nie zawsze da się skutecznie nad małoletnimi rozciągnąć — inna jest kwestya, że i u dzieci występują niekiedy zbrodnicze instynkta. Słyszymy nieraz o rozpustnych dzieciach, które dla zabawki rzucają kamieniami w okna przejeżdżającego w polu pociągu; czytaliśmy niedawno o bandzie nieletnich łobuziaków we Francyi, którzy usiłowali „według wszelkich zasad wiedzy i sztuki“ — wywołać wykolejenie pociągu; czytaliśmy również o bawiących się w wojsko malcach, którzy złapanego w niewolę wodza nieprzyjacielskiego — „na prawdę“ — powiesili.

Są to jednak wybryki wynaturzonej już wcześnie natury ludzkiej — są to wypadki, którym najtroskliwszy nadzór zapobiedz nie może.

Zazwyczaj jednak w smutnych wypadkach, porywających w ofierze życie dzieci — winni są rodzice czy opiekunowie, którzy strzedz winni duszy i ciała „maluczkich“.

Podobny wypadek karygodnego zaniedbania obowiązku dozoru, zdarzył się tymi dniami w Chrzanowie.

Około plantu kolejowego wykopany jest – niewiadomego zresztą użytku i przeznaczenia – wielki dół, napełniający się z nadejściem deszczów – wodą. Woda ta zamarzła obecnie i stanowi od biedy jaki taki niewielki teren ślizgawkowy.

Wiedziały o tem małe dzieciaki, które opuściwszy hajder po nauce, zapragnęły użyć zimowej rozrywki na zamarzniętej bajurze. Kilkunastu chłopców i małych dziewcząt puściło się wesoło na lód, nie przeczuwając w dziecięcej lekkomyślności, że przyjdzie im życiem opłacić tę niewinną rozrywkę.

W chwili, gdy zabawa szła w najlepsze i wszystkie dzieci znajdowały się na środku, słaby i niewypróbowany lód załamuje się z trzaskiem i wszyscy mali uczestnicy ślizgawki — znaleźli się nagle pod jego powierzchnią.

Przeraźliwy krzyk topiących się zwabił na miejsce wypadku strażnika plantu kolejowego. Niestety! pomoc za późno się zjawiła. Dzielny człowiek zdołał tylko kilkoro dzieci wydrzeć śmierci niechybnej — reszta w liczbie sześciorga — uległa katastrofie.

Trudno nie potępiać rodziców potopionych, którzy nie ostrzegli i nie upilnowali swych dzieci — trudniej jednak pojąć, jak mógł zarząd kolei, który ową jamę zdradliwą wykopać kazał — nie zabezpieczyć należycie dostępu do niej.

Nieszczęśliwi rodzice przypłacili stratę swych dzieci lekkomyślnością swoją i stali się poza tem wobec prawa odpowiedzialnymi za nieszczęście. W równej chyba mierze odpowiada w obliczu ustawy za katastrofę i zarząd kolei, i przedstawiciele jej pociągnięci będą z pewnością do obrachunku i usprawiedliwienia się w myśl wyraźnych przepisów ustawy.



**W zaciszu domowem**: Pałac hr. Badenich w Busku. Fot. Münz. Lwów.



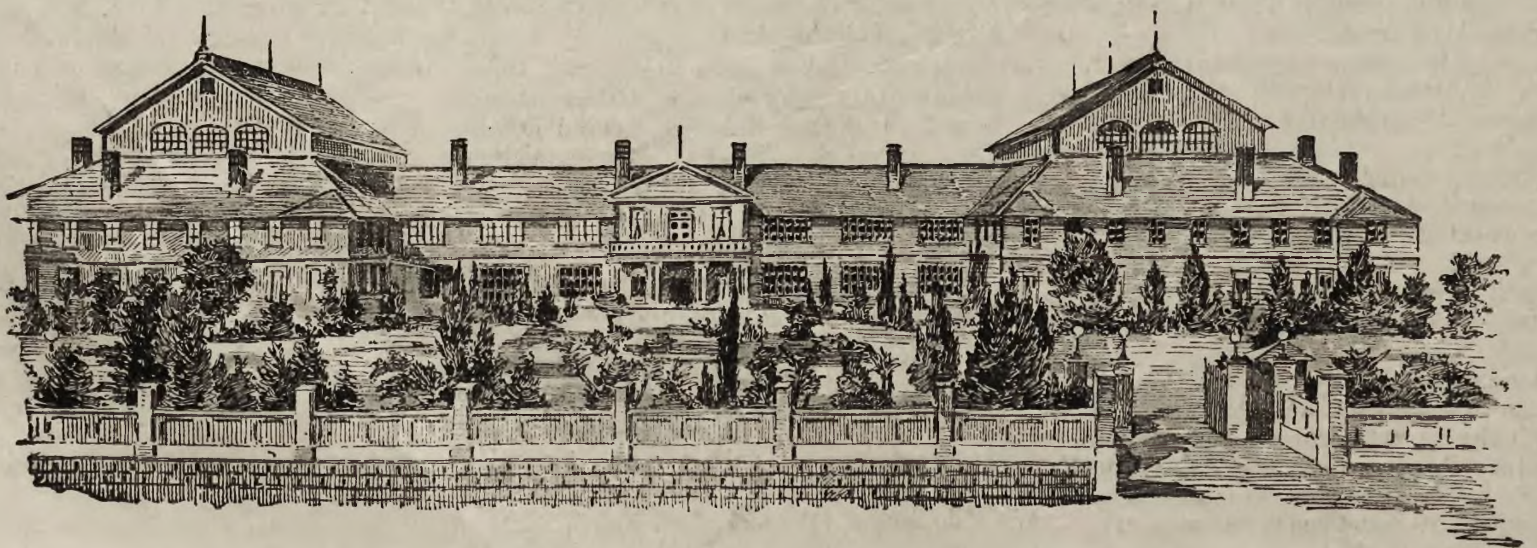
**W zaciszu domowem**: Hr. Kazimierz Badeni.



**Parlament japoński**: Markiz Ito sławny dyplomata japoński w obecnych czasach.



**Parlament japoński**: Prezydent gabinetu japońskiego Katsura.



**Parlament japoński**: Gmach Rady państwa w Tokio.

## W zaciszu domowem.

Podczas gdy w Wiedniu dr. Koerber poci się nad uspokojeniem parlamentu, wzburzonego narodowościowemi walkami i antagonizmem Niemców w stosunku do słowiańskich ludów austryackiej korony, zdala od tego gwaru w rodzinnych swych dobrach w Busku, pędzi cichy żywot szlachcica hr. Kazimierz Badeni, jeden z najwybitniejszych polityków ostatniej doby, potężny ongiś mąż stanu, który długi czas sterował nawą dziedzictwa Habsburgów.

Były namiestnik Galicyi, a następnie premier przedlitawskiego gabinetu ministeryalnego, pierwsza ofiara wszechniemieckich zapędów zbankrutowanej dziś partyi Wolfa i Schoenerera, zmuszony do ustąpienia z naczelnego w państwie stanowiska, więcej niż brutalnym sposobem, bo demonstracyami ulicznemi pospolitej gawiedzi, gotowej za grosz lub szklankę piwa do wszelkich ekscesów, złożywszy piastowaną przez siebie godność, cofnął się w zacisze domowe, usunął się od wszelkiej polityki i tylko własnej ziemi ojczystej, jako poseł sejmowy ofiarował swe służby.

Lecz mimo tej abstynencyi, los państwa, którego był kierownikiem, obchodzi go żywo. W gabinecie hrabiego Kazimierza, stanowiącym praco-

wnię i miejsce spoczynku do fizycznej pracy przy gospodarstwie celnem, którem dawny wielki polityk sam się chętnie zajmuje, leżą stosy dzienników krajowych i wiedeńskich wszystkich odcieni. Z nich to studyuje hrabia Badeni przejawy politycznego życia monarchii, śniąc ciągle w duchu o owej błogiej chwili, w której nareszcie nastąpi uspokojenie wzburzonych umysłów i parlament ostatecznie przestanie być widownią bezsensowych starć, paraliżujących wszelką pracę.

A — chwila ta jeszcze daleka!...

Hrabia Kazimierz Badeni, syn Władysława, urodzony w r. 1846 w Surochowie pod Jarosławiem, po ukończeniu nauk początkowych pod nadzorem znanego powieściopisarza Jana Zachariasiewicza i wydziału prawniczego na Uniwersytecie Krakowskim, poświęcił się służbie politycznej i przeszedłszy szybko niższe stopnie, został niebawem starostą w Żółkwi, następnie w Rzeszowie, a w końcu delegatem namiestnictwa w Krakowie. Jego energia, stanowczość i rzutkość, jakie na tem stanowisku okazał, zawyrokowały o jego przyszłości. W roku 1888, po ustąpieniu Zalewskiego, mianowano go namiestnikiem Galicyi. Jako taki zyskał sobie przydomek „żelaznej ręki“ dlatego głównie, że z nieugiętą wolą wziął się do uporządkowania spraw krajowych, przez poprzednika wielce zaniedbanych, a surowy dla siebie, choć sprawiedliwy, surowym był dla podwładnych i nie puszczał płazem żadnych wykroczeń przeciw służbowym obowiązkom i przeciw ustawie.

Gdy runął urzędniczy gabinet Kielmansegga, cesarz Franciszek Józef powołał na stanowisko premiera Austryi hrabiego Kazimierza. Kraj żegnał go z żalem, ale i z tem przekonaniem, że zawsze pamiętać będzie o interesach rodzinnej ziemi. Nie zapomniał też o niej hrabia Badeni tak samo, jak nie zapomniał o całej austryackiej słowiańszczyźnie, którą przez swe edykty językowe zrównoważył z nacyą niemiecką, nie zapomniał o szarych szeregach robotniczych, dla których stworzył piątą kuryę i prawo bezpośredniego powszechnego tajnego głosowania przy tych wyborach.

Słuszne rozporządzenia hrabiego Badeniego, regulujące kwestye językowe w Czechach, oburzyły nań Niemców.

Dzikie orgie obstrukcyi, jaką podnieśli w parlamencie, a której wynikiem był pojedynek hrabiego Kazimierza z Wolfem, przeniosły się na ulice Wiednia. Wówczas w roku 1897 hrabia Badeni podał się do dymisyi, opuścił Wiedeń i przeniósł się do Buska.

Stosunki parlamentarne nie polepszyły się jednak wcale, antagonizm płomienny wzrasta coraz dalej, coraz silniej zapuszcza swe korzenie i czyni parlament niezdolnym do pracy, robi zeń arenę do cyrkowych popisów różnej barwy obstrukcyonistów.

A w starym pałacu buskim hrabia Kazimierz Badeni zdala od wrzawy pędzi spokojnie żywot, oczekując kiedy wreszcie skończą się te polityczne orgie, będące klęską dla całej monarchii.



**Papiernia czerlańska**: Pałacyk dra Kolischera, posła do Rady państwa i właściciela fabryki papieru w Czerlanach.

## Parlament japoński.

Już kilka dni przed trzydziestym listopada stolica Japonii, Tokio, zatętniło życiem i to zgoła innem niż zazwyczaj. Ocieniony zielonością krzewów gmach parlamentu japońskiego, otworzył swoje podwoje dla tłumu reprezentantów ośmdziesięciu czterech prowincyi, stanowiących „państwo wschodzącego słońca“.

To mikado, który w przededniu nowych walk na mandżurskich polach, chciał porozumieć się z przedstawicielami swego ludu za ich wiedzą, i ich zezwoleniem obciążyć budżet japońskiej ziemi nowemi wydatkami, zwołał parlament, aby dla przedłożeń rządowych, poczynionych w tym kierunku, otrzymać sankcyę ludu.

Z po za majestatu mikada, przed którym najbardziej liberalny, najwięcej radykalny Japończyk zawsze schyla swe czoło, wysuwa się z teką, pełną nowych projektów, prezydent gabinetu ministeryalnego, złożonego z jedynastu członków, prezydent ministrów Katsura.

W dzisiejszej dobie on piastuje tę samą godność, którą niedawno jeszcze, podczas wojny chińsko-japońskiej, zakończonej w roku 1895 pokojem w Simonoseki, dzierżył markiz Ito, jeden z najzdolniejszych i najwytrawniejszych dyplomatów japońskich. Markiza Ito, który parokrotnie stał już u steru rządów w japońskiej krainie, znają już i cenią tak sąsiednie państwa, jak i europejskie mocarstwa. Dziś kolej przyszła na Katsurę. Jak zaś ten prezydent ministrów zapatruje się na obecną sytuacyę, najlepiej świadczy enuncyacya jego, uczyniona w przed dzień otwarcia parlamentu:

„Jesteśmy gotowi nie cofnąć się nawet przed największemi ofiarami! Wojnę z Rosyą uważamy za walkę na śmierć lub życie i w tej potrzebie złożymy z chęcią na ołtarzu ojczyzny ostatniego męża i ostatniego yena“!...

Katsura pierwszy raz występuje na szeroką widownię, ale można przypuszczać, że zapał, jaki go ożywia, przy wrodzonej japończykom oględności i sumiennej skrupulatności w ocenianiu faktów i w zapatrywaniach na położenie, zastąpi mu tę dyplomatyczną praktykę, to otrzaskanie się z polityką, którem się odznaczył i z którego słynie markiz Ito.

W dniu otwarcia parlanentu, pod murem, otaczającym gmach jego, zbudowanym w stylu japońskich pagód, zebrała się ludność z całego Tokio. Pstry tłum, złożony z bogaczy i nędzarzy, żywą falą otoczył dokoła budynek, szmerem cichych rozmów rozerwał zwykłą ciszę, otaczającą to miejsce.

Wszyscy z napięciem oczekiwali wieści, jakie nadejdą z gmachu, wiadomo bowiem było, że mikado osobiście wygłosi mowę tronową i że ta mowa będzie wskazówką, pod którą parlament rozpocznie swoją działalność.

I jak tam w gmachu, członkowie Izby gromkiemi oklaskami powitali przemówienie swego władcy, który zaznaczywszy cały szereg zwycięstw, niespożytą sławą zdobiący oręż japoński, wprost zażądał, aby kraj nowymi podatkami pokrył koszta wojenne i umożliwił dalsze zbrojenie posiłków dla marszałka Oyamy i jenerała Nogi, tak obywatele tokijscy z okrzykami radości przyjęli nowe ciężary na siebie, byleby tylko ojczyźnie zapewnić ostateczne zwycięstwo!...

I to jest, to właśnie, co najwięcej podziwiać u Japończyków: Gdy krew się polała, gdy zachuczały, wystrzały, gdy zagrożony został byt ich ojczyzny — w Japonii ustały wszelkie walki polityczne, zawiści partyjne! Wszystkich ożywiła jedna idea, wszyscy: cała Japonia, nawet kobiety, starcy i dzieci dniem i nocą myślą tylko, jakby przyczynić się do walki z wrogiem, jakby sztandarowi ojczystemu zapewnić zwycięstwo...

Armia rosyjska ma do zwalczenia nietylko szeregi wojsk japońskich! Jeśli Rosya chce zawładnąć Mandżuryą, jeśli swą stopą olbrzyma, chce nacisnąć pierś małej Japonii, to musi baczyć, aby żaden Japończyk nią ostał się przy życiu.

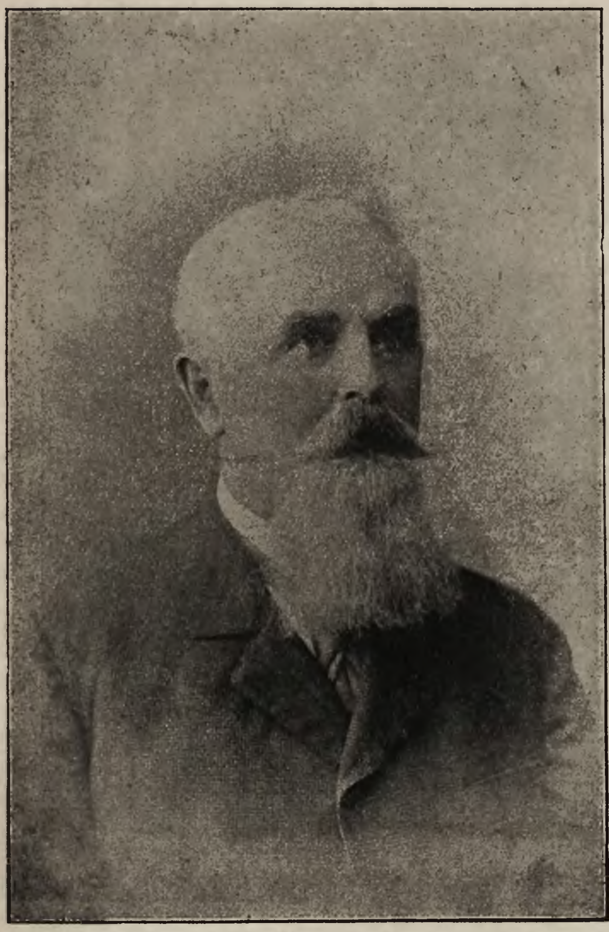
Prezydent ministrów Kamimura nie darmo wyrzekł, że Japonia w obronie swych granic odda ostatniego męża i ostatniego yena!...



**Papiernia czerlańska**: Zabudowania czerlańskiej fabryki papieru dra Kolischera w Czerlanach. Fot. Münz. Lwów.

## Papiernia czerlańska.

Śmiało rzec można, że jeszcze na punkcie wyrobu papieru nasz ubogi przemysł krajowy stoi najwyżej. Jeśli wspomnimy, że bibułki cygaretowe, wyrabiane w Sassowie, idą na eksport do Francyi i wracają stamtąd, zaopatrzone w francuską etykietę, znajdując dopiero potem u nas licznych



**Czterdziestoletni jubileusz:** Aptekarz-jubilat Jan Wewiórski.

zwolenników i odbiorców, którym krajowy wyrób bez francuskiego napisu nie przypada do smaku, jeśli nadmienimy, że kartony i dziennikarska bibuła której używamy w tak znacznych ilościach są wywytworem krajowej czerlańskiej papierni, to nic nie wspominając już o innych drobniejszych fabrykach tego rodzaju, śmiało możemy stwierdzić, że przemysł papierowy rozwija się u nas znakomicie, choć...

Ach! że też to my zawsze na owem „choć“ lub na jakiemś „ale“ musimy utknąć!

A w tym wypadku owo „choć“ oznacza, że przemysł ten się rozwija, c h o ć niestety drukarskie zakłady nasze wolą potrzeby swe zaopatrywać w czeskich, niemieckich, i węgierskich fabrykach, niż zwrócić się do krajowych papierni i zamówieniami swojemi zwiększyć zakres ich działania.

A gdyby tak te drukarnie obarczyły swojemi zapotrzebowaniami krajowe fabryki papieru, czyżby Sassów, albo Czerlany potrzebowały starać się o zbyt swych wyrobów za granicą — czy nie rozszerzyłyby swych ubikacyj, nie sprowadziły maszyn potrzebnych do wyrobu lepszych sort papieru i nie zatrudniły całych setek ludzi dziś napróżno szukających zarobku?!..

Przypatrzmy się tylko Czerlanom.

Mała miejscowość, położona przy gościńcu łączącym zakład zdrojowy w Lubieniu Wielkim z miasteczkiem Gródkiem, posiadającem stacyę kolejową, nie wioska nawet, ale przysiołek składający się z kilkunastu wieśniaczych sadyb, jest ogniskiem pracy wytwórczej setek ludności okolicznej, wieśniaków z Porzecza, Małkowic a nawet gródeckich przedmieść którzy czy to pracą rąk, czy furmankami i dostawami do kolei tak zimą, jak latem zarabiają na życie. Dziewczęta, gospodynie, starsi chłopcy i wieśniacy w sile wieku, znajdują w tej fabryce wcale obfity zarobek, nie licząc stałej kolonii robotników fabrycznych, złożonych z maszynistów, magazynierek oraz t. zw. „drukarek“ to jest dziewcząt, zajętych przy maszynach drukujących linie na zeszytowym papierze.

Zabudowania fabryczne położone nad brzegiem szeregu olbrzymich stawów janowskiego, gródeckiego, czerlańskiego i lubieńskiego, które rzeka Wereszczyca wpadająca do Dniestru łączy w jeden obszar wodny, dniem i nocą tętnią życiem, brzmią gwarem rozmów i nawoływań zamierając jedynie na czas świąteczny. Woda poruszająca motory fabryczne, wprawia także w ruch maszynę dynamo-elektryczną, dostarczającą fabryce światła, które zwłaszcza w łukowych lampach oświetlających podwórza zabudowań i składów na milę nawet jest widoczne.

Fabryka wyrabia głównie cztery gatunki papieru: kartony, drzewny papier pakunkowy, dziennikarski papier, używany przez lwowskie pisma i dobre papiery satynowane przeważnie do użytku na zeszyty szkolne.

Można sobie wyobrazić jaką klęską dla ludności był pożar tej fabryki, który zdarzył się w roku 1890 i w ciągu czterech dni mimo wysiłków wszystkich ochotniczych straży pożarnych okolicznych, a nawet lwowskiej straży miejskiej przybyłej na miejsce wypadku koleją, zniszczył całą fabrykę i wszystkie urządzenia doszczętnie.

Jednakowoż stan bezrobocia nie potrwał długo. Właściciel fabryki poseł do rady państwa dr. Kolischer w krótkim czasie nietylko, że odbudował ją na nowo, ale wyposażył w lepsze maszyny, w nowego typu urządzenia i znów do Czerlan rankiem i wieczorem poczęły zdążać szeregi wieśniaków za zarobkiem.

Oto krótka historya czerlańskiej papierni i kilka uwag o naszym przemyśle krajowym którego rozwój leży nam tak na sercu.

## Czterdziestoletni jubileusz.

Może najcięższym zawodem wśród działów pracy ludzkiej o duchowym podkładzie — jest zawód aptekarza.

Wytężająca praca fizyczna, bezustanna odpowiedzialność, ciągła uwaga na wydawane i wyrobione przez się lekarstwa, w których czasem odrobinka więcej, może zamiast przyczynić się do uleczenia cierpiącego, zabić go — to główne obowiązki aptekarza — to jest ten cały ciężar, który równie dniem jak i nocą tłoczy jego barki.

To też czterdziestoletnia praca w tym zawodzie zasługuje chyba na uznanie i lwowskim kołom aptekarskim za zasługę należy poczytać, że nie zapomniały uroczystością jubileuszową uczcić tak długiej pracy na niwie farmacyi p. Jana Wewiórskiego, zacnego obywatela kraju, który w cichej, skrzętnej pracy rozpoczął już siódmy krzyżyk.

Jubilat urodzony w Wajdówce w roku 1842, studya gimnazyalne ukończył w Rzeszowie, a gdy wybuchło powstanie styczniowe, gdy zagrała trąbka bojowa, wzywając prawych synów do walki o niepodległość, młody student pospieszył ofiarować swą krew na ołtarzu ojczyzny i brał udział w kilku bitwach.

Ofiarność polskiej młodzieży była bez skutku. Gdy powstanie upadło, gdy przemoc poczęła znów święcić tryumf, Wewiórski powrócił do Galicyi i przybywszy do Lwowa, poświęcił się farmacyi.

Skrzętny, zapobiegliwy, po latach pracy, otworzył sobie przy ulicy Halickiej własną aptekę, a chętny na usługi innych i nietylko pamiętający o sobie, lecz gotów zawsze do gorliwego spełniania obywatelskich obowiązków, nie mało przyczynił się do rozwoju „Towarzystwa aptekarzy“, gdzie przez dłuższy czas był na przemian skarbnikiem i prezesem.

Czterdziestoletnia praca, którą dziś jubileuszem uczcili przyjaciele i zawodowi koledzy p. Wewiórskiego, nie sterała jeszcze sił jego zupełnie, czując jednak, że zasłużył już na spoczynek, zarząd apteki złożył w ręce syna swego Ludwika, doktora filozofii — a sam cofnął się w zacisze domowe.



**Pogrom atlety:** Scena pasowania się Cyganiewicza z Oettingerem w Karlsbadzie.

## Pogrom atlety.

Spadkobierca sławy Pytlasińskiego — zawodowy atleta Stanisław Cyganiewicz miał tymi dniami w Karlsbadzie niemiłe zajście na arenie cyrkowej z adwersarzem swym, niejakim Oettingerem.

Wezwany przez atletę p. Cyganiewicz — stanął do zapasów i wobec niezliczonych tłumów publiczności — położył przeciwnika na ziemię według wszelkich reguł i zasad atletyki.

Zasady te przepisują, że rzucony na ziemię — wtedy dopiero za pokonanego ma być uważany, gdy pogromca doprowadził go do tego położenia, w którem pokonany dotyka obu łopatkami ziemi.

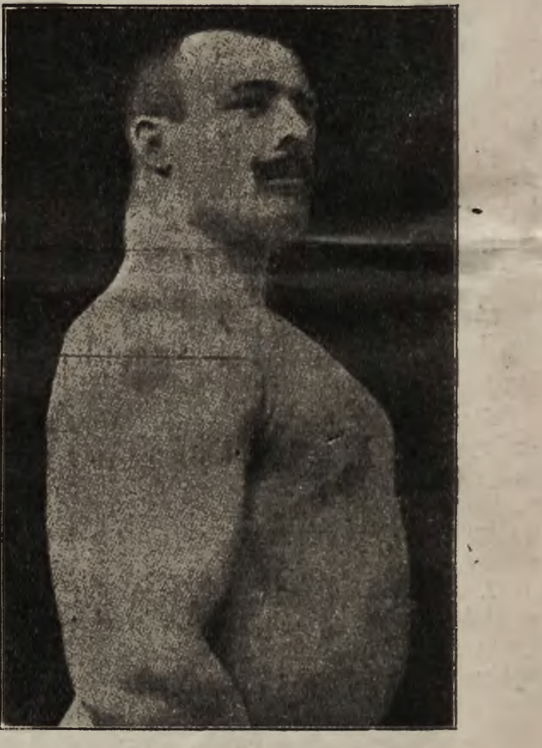
Cyganiewiczowi powiodła się walka — i jury przyznało mu jednogłośnie palmę zwycięstwa i nagrodę konkursową. Publiczność karlsbadzka przyjęła owacyjnie i z entuzyazmem bohatera areny i kilkakrotnie go wywoływała.

Tego tryumfu przeciwnika, a upokorzenia swojego — znieść nie mógł rywal.

W chwili, gdy Cyganiewicz ukłonem po raz dziesiąty może dziękował publiczności za uznanie — rzucił się Oettinger na niego i schwyciwszy go wpół, jednym silnym rzutem cisnął zwycięskiego adwersarza między publiczność.

Ta brutalna konkurencyjna napaść, uczyniona w sposób podstępny i zdradziecki, oburzyła do najwyższego stopnia czeską publiczność tem więcej, że napadnięty był słowianinem — napastnik zaś — niemcem.

Przerzucony przez rampę Cyganiewicz upadł całym ciężarem ciała w jednę z pustych lóż parterowych, i poniósł dotkliwe stłuczenia. Nie wiele brakowało by wzburzona publiczność nie wymierzyła niemieckiemu atlecie doraźnej kary. Rzucono się na niego z laskami i parasolami — i tylko z trudem udało się niemcowi uniknąć gorszych skutków słusznego ogólnego oburzenia. Rycina nasza wykonana przez jednego z amatorów fotografów, przedstawia właśnie chwilę walki zapaśniczej, kiedy Cyganiewicz kładzie już przeciwnika na ziemię.



**Pogrom atlety:** Atleta Stanisław „Zbyszko“-Cyganiewicz.

Nadmienić wypada, że młody atleta Cyganiewicz należy do jednych z najpierwszych artystów swojego fachu i mało ma konkurentów. Do najlepszych atletów świata należą turek Achmed Soliman, Sandorf, Walapfel, Robinson Russ i bośniak Zangen.

Potłuczenia, które odniósł Cyganiewicz rzucony przez przeciwnika — nie należą do ciężkich. W każdym jednak razie potrwa kuracya kilka tygodni, poczem rezerwuje sobie Cyganiewicz prawo rewanżu. Etyka arenowa ma swoje ścieżki i „przejścia“, naszem jednak zdaniem rewanż w tym wypadku powinien być wykluczony. Cyganiewicz pozostał zwycięzcą, a uległ tylko i to po skończeniu walki — podstępowi niefortunnego przeciwnika.



**Handel czcią ludzką**: Hr. Ign. Milewski. (Treść na str. 8).

## Zmarły dyplomata rosyjski.

W ubiegłym tygodniu umarł w Wiedniu znany dyplomata rosyjski, który długi czas regulował stosunki polityczne między Austro-Węgrami a Rosyą, hrabia Kapnist, ambasador rosyjski na dworze austryackim.

Zmarły dyplomata, który — jak wspominają niemieckie pisma — posiadał we Wiedniu cały szereg osobistych przyjaciół, zarówno w kołach niemieckich polityków, jak wśród członków Klubu czeskiego i Koła polskiego, od młodych lat poświęcił się karyerze politycznej i wstąpił do służby w ministerstwie spraw zagranicznych.

Wielkie zdolności dyplomatyczne, wysokie wykształcenie i towarzyska ogłada, zapewniły mu od razu powodzenie i zwróciły nań uwagę jego przełożonych. Pierwszym jego posterunkiem za granicą był Rzym. Przydzielony do tamtejszej ambasady rosyjskiej, przez dziesięć lat bez przerwy pracował w tem mieście i tak zadowolił rząd rosyjski, że z kolei został mianowany radcą legacyjnym w Paryżu. Nie długo jednak pozostawał na tem stanowisku, bo zaskarbiwszy sobie zaufanie rządu i zyskawszy wśród dyplomatów innych krajów uznanie dla swych zdolności, objął urząd ambasadora w Hadze.

Ośm lat piastował tę godność ku ogólnemu zadowoleniu obu interesowanych mocarstw, aż wreszcie jako senator powrócił do ojczyzny, gdzie przyzwyczajony do wielkomiejskiego życia osiadł w Petersburgu. Nie długo jednak trwał ten rodzaj urlopu, ta przerwa w dyplomatycznych zajęciach hrabiego Kapnista, gdyż w r. 1895 mianowano go w miejsce Łobanowa ambasadorem na dworze austryackim w Wiedniu, gdzie nie szczędził zabiegów i starań, aby tylko umożliwić zbliżenie się, względnie nawiązanie ściślejszych stosunków między Austryą i Rosyą, w czem nie mało pomagała mu osobista przyjaźń, jaka łączyła go z austryackim ministrem spraw zewnętrznych hr. Gołuchowskim, datującą się jeszcze od czasu, gdy obaj przebywali w Paryżu.



**Niezwykła reklama artysty**: Artysta produkuje się na ulicy w chodzeniu na głowie.

Śmierć tego wytrawnego dyplomaty, która zaskoczyła go w sześćdziesiątym szóstym roku życia, można uważać za wielką stratę dla państwa rosyjskiego, które w dobrych dyplomatów jest bardzo ubogiem.

## Niezwykła reklama „artysty".

Określenie „artysta" ma w obecnych czasach niezmiernie rozciągłe i elastyczne znaczenie. Słowo „sztuka" — „artysta" te dwa pojęcia stworzone dla wyrażania najszczytniejszych dążeń i celów ludzkości, zostały już niejednokrotnie nadużyte i sprofanowane i jak pieniądz zdawkowy przechodzący z rąk do rąk — straciły dawny swój połysk i dźwięk.

Do artystów zaliczamy dziś, a raczej z a l i c z a j ą  s i ę  s a m i: rozmaici sztukmistrze cyrkowi, śpiewacy kawiarniani, a nawet wywoływacze w wędrownych budach „figur woskowych" i „muzeów osobliwości".

Nie da się zaprzeczyć, że i owi sztukmistrze jak linoskoczki, woltyżerzy i śpiewacy kupletów — mogą w swoim kierunku dojść do pewnej biegłości a nawet doskonałości, wzbudzającej poklask i podziw tłumów. Ów drugorzędny światek artystyczny ma również swoją dumę i swoje ambicyjki, dochodzące nieraz do śmieszności. Ciekawy fakt na tle ambicyi artystycznej zdarzył się niedawno w Berlinie.

Otóż w jednem z „orfeów" w Berlinie był zaangażowany sztukmistrz produkujący się chodzeniem na głowie. Oryginalność pomysłu i wykonania „triku" polegała na tem, że „artysta" stanąwszy na głowie, posuwa się naprzód bez pomocy rąk, robiąc podskoki głową.

Nowość wzbudziła senzacyę w całem mieście, i tłumy ciekawych oklaskiwały codziennie niezwykłego ‚artystę'. Tymczasem puszczono plotkę, że sztukmistrz wykonywa w ten sposób oszukańczy swój „kawał", że mianowicie każe się wieść na specyalnie urządzonym i odpowiednio ukrytym wózeczku przez scenę tak, że produkcya robi zupełne złudzenie skakania na głowie.

Wieść ta srodze zabolała „mistrza", który postanowił pokazać światu, że istotnie chodzi i skacze na głowie.

Pewnego pięknego dnia mieli przechodnie ulicy Friedrichstrasse ciekawe widowisko. Jakiś człowiek elegancki i przyzwoicie ubrany szedł ulicą. Przystanął i oglądnąwszy się przezornie za siebie — rzucił się nagle na głowę i nie dotykając wcale rękami ziemi zaczął biedz na głowie, podrzucając siłą mu kułów karku całe ciało.

Efekt udał się znakomicie, tłumy przechodniów zbiegły się na tą oryginalną demonstracyę, a „artysta" dowiódł publicznie że „trik" jego jest oryginalnym, i żadnego oszustwa się nie dopuszcza. Inaczej jednak zapatrywała się na to policya, która śmiałego kunstmistrza poprosiła w mniej grzeczny sposób do biur swoich, celem zbadania jego stanu umysłowego.

Wtedy dopiero wykazało się, że nie jest on waryatem — tylko podrażnionym w swej ambicyi artystą.

Cel został dopięty. Berlin przekonał się, że „człowiek chodzący na głowie" — nie dopuszcza się żadnego oszustwa w swych produkcyach.



**Niezwykła reklama artysty**: Akrobata Baptysta produkuje się w chodzeniu na głowie.



**Zmarły dypl. ros.**: Hr. Kapnist zmarły we Wiedniu ambasador rossyjski.



**Handel czcią ludzką**: Z Płacheckich Cecylia Włodzimirska rzekomo córka hr. Milewskiego.

# Handel czcią ludzką.

I rozegrał się znowu jeden z dalszych aktów komedyi, którą równie dobrze możnaby zatytułować „Mąż i żona“, jak „Towar na sprzedaż“, lub też „Cnotliwi ludzie“. Bohaterowie tej „sztuki“: rzymski hrabia Milewski, pani Cecylia Włodzimirska, narzeczony Barber, mąż od biedy p. Karol Włodzimirski, mama Płachecka, uczony prawnik dr. Otton Frischauer i artysta-malarz Wodzinowski, zeszli znów ze sceny po znakomitem odegraniu swych ról, ku uciesze lubiącej mocne wzruszenia gawiedzi. Akt ten jednak dla jednego z bohaterów zakończył się bardzo smutnie, bo jego finansowo-etyczne kombinacye zarobienia grubszej sumy na hańbie ludzkiej, uwieńczone zostały zasłużoną nagrodą jednomiesięcznego aresztu obostrzonego postem.

Spoglądając na te skandaliki arystokratyczno-plutokratyczne, które obecnie „przewietrzał“ sąd karny we Wiedniu z okazyi skargi, jaką rzymski hrabia wytoczył uczonemu prawnikowi z powodu oszczerstw, wymuszenia i tym podobnych wielce honorowych okoliczności, formalnie aż niedobrze się robi każdemu zwykłemu śmiertelnikowi, nie-



**Handel czcią ludzką**: L. Wodzinowski artysta-malarz.

przyzwyczajonemu do handlu czcią ludzką i ciałem!

Jak w kalejdoskopie przesuwa się nam przed oczyma cały szereg obrazków, stanowiących znakomity temat do tak zwanej kryminalnej powieści.

Oto na krakowskich plantach w krótkiej sukience podlotka bawi się mała Cesia Płachecka, śliczny, żywy dzieciak o niebieskich oczętach Murillowskiego cherubinka. Czuwa nad nią argusowe oko mamy, które jednak przymyka się systematycznie wówczas, gdy koło Cesi zaczyna krążyć bogaty pan Karol Włodzimirski. Aż pewnego dnia zrobił się w Krakowie straszny rumor! Mała Cesia porzuciła kochaną mamę i drapnęła w świat naturalnie nie sama! Towarzysza do tej eskapady znalazła sobie już dawno w postaci pana Karola!



**Handel czcią ludzką**: „Mama Płachecka“, matka Cecyli Włodzimirskiej.



**Handel czcią ludzką**: Hr. Mieroszowski, sekretarz c. k. sądu powiatowego karnego w Krakowie.

Dalej obrazki zmieniają się w szybkiem tempie: pogoń, odszukanie zbiegów, groźba i widmo kryminału za uwiedzenie, krótkie pytanie „ile?“ poparte odpowiednim gestem ręki, szlachetne oburzenie i alternatywa: „albo do sądu, albo do kościoła“ — wspaniały ślub i... koniec pierwszego aktu.

Małżeństwo kocha się ogromnie, ale przeważnie... poza domem, co powoduje znaczne obustronne wydatki, które nadszarpały znacznie zasobny mieszek pana Karola i piękną panią Cesię lubiącą stroje, popchnęły w długi. Długi uczą zwykle rozumu, nauczyły więc i panią Cecylię. Dzielna kobietka poczęła myśleć, jakby zdobyć nowe obfite źródło dochodów przy niewielkich wysiłkach i w myśli zarysowała się jej postać starego milionera (w takich wypadkach starzy są najlepsi, bo prędko się przywiązują i do dojenia są wyborni), która niebawem przybrała całkiem realne kształty i to dzięki świętemu zapałowi i miłości do sztuk pięknych, co ożywiały serduszko pani Cecylii.

Nie mogąc na ołtarzu tych sztuk pięknych złożyć coś innego, ofiarowała pani Cecylia samą siebie i jako modelka zaczęła zaglądać do pracowni ma-

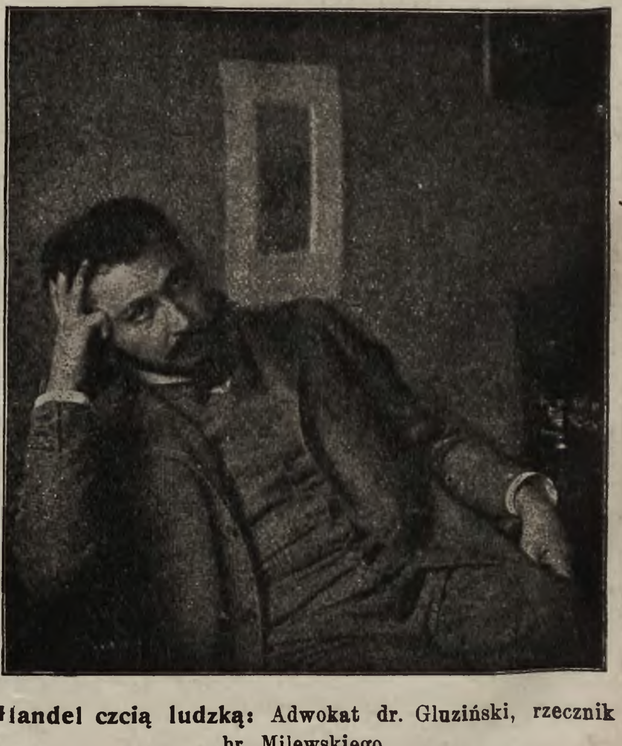


**Handel czcią ludzką**: Karol Włodzimirski, mąż Cecylii Włodzimirskiej.

larza Wodzinowskiego. Właśnie w tym czasie zjawił się w Krakowie rzymski hrabia p. Milewski, który, nie mając co zrobić z groszem, zabłąkał się do tej pracowni i zakupił cały szereg obrazów, płacąc za nie tak hojnie, że p. Wodzinowski pochwalił się tem przed swą modelką. Pani Cecylia odrazu uznała całą olbrzymią wartość hrabiego i zaczęła prosić mistrza, aby przedstawił ją bogaczowi, gdyż potrzebuje koniecznie starszego człowieka, któryby zaspakajał jej pieniężne dolegliwości. Artysta zrazu wymawiał się od tej zaszczytnej roli pośrednika, ale w końcu z jednej strony obowiązki wdzięczności, z drugiej litość nad biedną panią Cecylią, złamały ten odruchowy zgoła zbędny upór i — rzymski hrabia poznał urodziwą Krakowiankę. Stosunki wzajemne świeżych znajomych ułożyły się jak najlepiej, bo w trzy dni po wymianie pierwszych słów — jak to rozprawa wykazała — oboje byli już *per* „ty“ ze sobą.

Pan Karol Włodzimirski zgodził się na ten interes, zwłaszcza, że dzięki poświęceniu się mamy Płacheckiej dla dobra najukochańszej córki, trójkąt małżeński ozdobiono cudowną dekoracyą. Hrabia Milewski został bowiem mianowany naturalnym ojcem pani Cecylii i jako taki uzyskał prawo ratowania jej w finansowych potrzebach, a właściwie nie tylko jej, bo także pana Karola, a nawet — o ironio — pozwolono mu kosztem sześćdziesięciu koron przyczynić się do polepszenia bytu „Roji“, psa państwa Włodzimirskich.

Ale też dzięki tej dekoracyi, gdy rzymski hrabia przemieszkiwał w wiedeńskim hotelu „Imperial“, a pan Karol przybył z żoną do Wiednia, pani Cecylia obrała sobie *locum standi* w „Imperialu“, podczas gdy małżonek swe lary i penaty schronił pod dachem hotelu „*Erzherzog Karl*“! Ale też dzięki tej dekoracyi uznanej i aprobowanej



**Handel czcią ludzką**: Adwokat dr. Gluziński, rzecznik hr. Milewskiego.



**Przypadek ex-królowej**: Natalia serbska, matka zamordowanego Aleksandra Obrenowicza.

przez zacną mamę Płachecką, wszystkim było dobrze, jak w raju, a języki ludzkie, ostre, niezmordowane języczki krakowskie nie próżnowały!

Nie długo jednak trwały piękne dni Aranjuezu! Rzymski hrabia był rasową dojną krówką, ale tylko na punkcie pieniędzy. Pani Cecylii, jako kapłance Astarty, nie wystarczało tylko złoto i niebawem pan hrabia ujrzał, że na głowie zaczynają się mu tworzyć narośle, dziwnie dobrze przypominające małżeńskie rogi pana Karola.

Wzburzyło się morze, po którem kołysała się łódź Włodzimirskich. Wśród błyskawic słów i grzmotu policzków, rzymski hrabia rzucił urodziwą Krakowiankę, kochający mąż rozpoczął rozwodowe kroki przeciw czułej na niewieścią cześć żonie. Wzburzyło się morze i z pośród bałwanów wyłonił się znakomity prawnik, wielki uczony „Hof und Gerichtsadwokat“ dr. Otto Frischauer.

Doktor przedewszystkiem zbadał sytuacyę, a poznawszy, że kupiec Włodzimirski stracił prawo sprzedaży towaru, znanego pod mianem pani Cecylii, postanowił sam eksploatować zyski, których ona mogła przysporzyć. Dekoracyjna bajeczka miała mu przynieść w pierwszej linii pomoc i między piękną panią Cecylią a uczonym prawnikiem stanął układ: rzymski hrabia, jako naturalny ojciec, musi ją wyposarzyć, z otrzymanej kwoty pani Cecylia dostanie dwadzieścia procent, a osiemdziesiąt weźmie pan doktor za swoją fatygę, gdyby zaś hrabia nie dał się naciągnąć, to pani Cecylia czy tak czy tak, musi zacnemu mecenasowi dać za fatygę, choć bezskuteczną wcale skuteczne pięćdziesiąt tysięcy koron.

Bez okrzyków „urra“ i „banzai“ rozpoczęła się wojna. Pokazało się jednak, że rzymski hrabia posiada kulturę Japończyka i — bezkarnie nie da sobie pluć w kaszę ani też w tak lubiane przez panią Cecylię *Spendierhosen*.

I o to pan hrabia skarży panią Cecylię o plotkę w sprawie ojcowstwa przed krakowskim trybunałem, reprezentowanym przez hr. Mieroszowskiego. Pani Cecylia przegrywa i dostaje wyrok na parę tygodni aresztu. Uczony prawnik szturmuje do hrabiego Milewskiego, ale zamiast monety, zyskuje obietnicę wypłaty w postaci... kijów! A w tem zjawia się milioner bez milionów Barber, który wzorem wiedeńskich „strizzi“ bierze panią Cecylię na małżeństwo i zyskuje intratną pod różnymi względami posadę narzeczonego pięknej pani.

I znów z chyżością jaskółki przewija się sto plotek i oszczerstw, których ofiarą pada hrabia Milewski i krakowski sędzia hr. Mieroszowski; sypią się fałszywe telegramy, które autorzy, to jest pani Cecylia i spółka, podpisują nazwiskiem komisarza naszej policyi, barona Clossmanna; zamachy na osobistą cześć ludzką są dla spółki, otoczonej opieką uczonego prawnika, codziennym chlebem a kulminacyjnym punktem jest napad Barbera na hrabiego Milewskiego we Wiedniu. Bohater uderza hrabiego i ucieka ale tak nieszczęśliwie, że kula posłana w pogoń za nim utkwiła w najmięsistszej części jego ciała!

W końcu hrabia M. ma już dość tych romansów, gróźb i wymuszeń. Chroni się pod opiekę prawa, powołując na swego rzecznika dra Tadeusza Gluzińskiego, adwokata z Krakowa. Hrabia Mieroszowski przyłącza się do postępowania karnego i we Wiedniu odbywa się rozprawa, która wreszcie wydobyła na światło dzienne wszelkie tajemnicze machinacye pod firmą „pani Cecylia“. Uczony prawnik został skazany na miesiąc aresztu obostrzonego postem, a pani Cecylia powróciła znów w objęcia narzeczonego...

Oto komedya, którą „Polonia“ we Wiedniu bawiła w ostatnich dniach różne „blatty“, „zeitungi“ ku większej chwale narodu.

A — no! *avanti signore*! Ma Belgia swego Leopolda i Cleo de Merode, to my cieszmy się rzymskim hrabią, panią Cecylią i panem Karolem, zostawiając Wiedniowi zaszczyt posiadania Frischauera!...

## Przypadek ex-królowej.

Eks-królowa Natalia, o której zwolna świat zapomniał — dała znów słyszeć o sobie.

W Paryżu, mieście stałego pobytu — spotkał ex-królową niemiły przypadek. Na przejażdzce, którą odbywała powozem poniosły konie i w szalonym pędzie porwały powóz. Kres piekielnej jeździe położyło przypadkowo drzewo. Rozhukane rumaki uderzyły całą siłą o przeszkodę i bokiem karety zawadziwszy o drzewo zatrzymały się. Powóz doznał silnego uszkodzenia, a niefortunna pasażerka oprócz stłuczeń wyszła z poważnem skaleczeniem twarzy, spowodowanem szkłem z rozbitej szyby powozu.

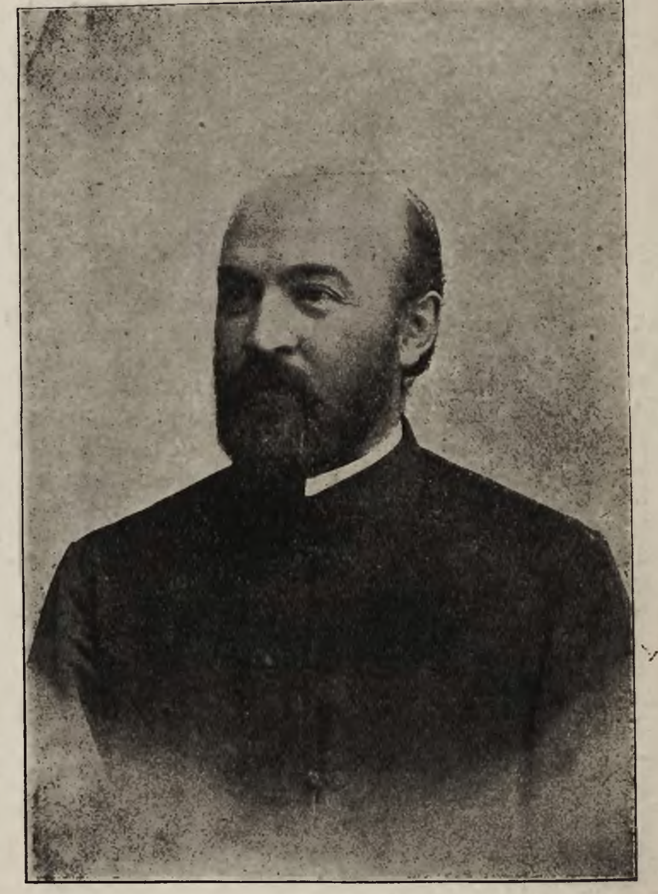
Kuracya potrwa prawdopodobnie dłużej i pani Natalia będzie miała czas w swem zaciszu domowem rozpamiętywać o zmienności losu głów koronowanych.

Nie zawadzi przypomnieć przy tej okazyi, że exkrólowa, lekkomyślna małżonka Milana — chociaż posiada wiele wad i zboczeń odznaczała się zawsze wielką i ślepą miłością dla swojego syna smutnej i nieszczęśliwej pamięci Aleksandra. Ona to była, która całą siłą sprzeciwiała się małżeństwu z Dragą — jakby w przeczuciu katastrofy, która okrucieństwem i wyrafinowaniem nie ma sobie równej w dziejach. Ta sama nieszczęśliwa matka przechowuje podobno z pietyzmem drobne pamiątki po synu — wartościowe zaś rzeczy przekazała narodowi, na stworzenie stypendyum naukowego.

Zamieszczamy portret ex-królowej, zrobiony ze zdjęcia na kilka dni przed wypadkiem.

## Inauguracya na wszechnicy czerniowieckiej.

W piątek dnia 2 grudnia b. r. o godzinie 12 przed południem odbyła się uroczystość inauguracyjna na wszechnicy czerniowieckiej. Po uroczystej mszy w kościele, zebrał się senat z gronem profesorów, zaproszonymi gośćmi i słuchaczami w przystrojonej auli uniwersyteckiej. Między innymi przybyli na tę uroczystość prezydent kraju dr. Regner von Bleyleben, arcybiskup Repta z radcami konsystoryalnymi Calinescu i Monastyrskim, wiceburmistrz dr. Reiss, radca dworu Knipper, konsul rumuński Cogelniceanu, jenerałowie Wanka i Hornik i w. i.



**Inauguracya na wszechnicy czerniowieckiej**: Rektor uniwersytetu dr. Teodor Tarnawski.

Gdy goście zajęli swe miejsca, zabrał głos prorektor prof. dr. Hörman zu Hörbach Walter i złożył sprawozdanie za rok ubiegły.

Następnie wręczył mowca insygnia nowemu rektorowi prof. dr. Teodorowi Tarnawskiemu, który wygłosił zajmujący wykład „o poetyckim charakterze służby bożej z szczególnem uwzględnieniem grecko-oryentalnego kościoła“. W końcu zwrócił się mowca do młodzieży, wzywając ją w ciepłych słowach, aby pracowała na chlubę narodu i *Almae matris*.

Obecny rektor dr. Teodor Tarnawski urodził się 16 sierpnia 1859 roku w Wyżnicy na Bukowinie. Po ukończeniu studyów gimnazyalnych, zapisał się na wydział teologiczny w Czerniowcach. Następnie udał się w podróż naukową i kontynuował studya teologiczne w Wiedniu i Monachium. Dnia 7 lipca 1885 został promowany na uniwersytecie czerniowieckim na doktora teologii. W r. 1884 otrzymał posadę prefekta przy tutejszym seminaryum duchownem. W r. 1893 został docen-



**Znów katastrofa kolejowa**: Wykolejenie się lokomotywy przy pociągu nr. 3757 na szlaku Wygnanka-Iwanie puste pomiędzy stacyami Wołkowce-Germakówka.

tem, a w r. 1896 zwyczajnym profesorem teologii z językiem wykładowym rumuńskim.

W r. 1898/99 wybrany został dziekanem wydziału teologicznego, a obecnie piastuje godność rektora wszechnicy czerniowieckiej.

## Znów katastrofa kolejowa.

Że katastrofy kolejowe są czasem nieuniknione, zwłaszcza wówczas, kiedy słabi ludzie najniespodziewaniej spotykają się z niszczącą potęgą przyrody, to rozumiemy bardzo dobrze i wtedy biadamy jedynie na *vis major*, która powoduje takie wypadki, ale też z drugiej strony nie można powstrzymać się od krytyki i uwag, choćby nawet nieprzyjemnych dla pewnych osobników, jeśli powodem katastrofy jest brak nadzoru albo zaniedbanie obowiązków przez tych, co mają czuwać nad życiem i mieniem podróżnych.

Z wszystkich galicyjskich linii kolejowych, drogi żelazne, leżące w obrębie stanisławowskiej dyrekcyi kolei, są najczęściej widownią różnych wypadków i katastrof mniej lub więcej strasznych w swych skutkach. Dość chyba wspomnieć pełną grozy katastrofę pod Kołomyją, gdzie skutkiem „przepisowej“ konserwacyi załamał się most pod pociągiem, dość napomknąć tylko o obsunięciu się toru na przestrzeni linii kolei południowo-galicyjskiej, kędy tuż przed pociągiem oberwał się nasyp kolejowy i gdzie tylko bohaterstwo dróżnika, który z narażeniem życia zdołał uwiadomić maszynistę o grożącem pociągowi niebezpieczeństwie, uratowało życie setek podróżnych!...

W tych katastrofach nie z jakąś *vis major* miała dyrekcya stanisławowska do czynienia, ale z własnym niedozorem, z własną dziwną, niepojętą apatyą w spełnianiu swych obowiązków.

I myślano, że tych kilka wypadków wpłynie na polepszenie stosunków bezpieczeństwa w okręgu stanisławowskim. Widać jednak, że płonne to były nadzieje, bo nadeszła wieść, że na linii Iwanie puste-Wygnanka w ostatnich dniach zeszłego miesiąca zdarzył się znów wypadek, który byłby zapewne pociągnął za sobą groźne skutki, gdyby nie nadzwyczajna przytomność umysłu maszynisty S. Dominego, który wczas zdołał zatrzymać pociąg i całą katastrofę ograniczyć jedynie do wykolejenia parowozu.

Dnia 27 z. m. pociąg mieszany nr. 3756, zdążający z Wygnanki do Iwania przy kilometrze 14·89 pomiędzy stacyami Germakówką a Wołkowcami nagle stanął w czystem polu. Podróżni przestraszeni rzucili się do okien, ale służba kolejowa uspokoiła ich krótkiem: „Już po wszystkiem! wykolejenie maszyny!“

A powód tego wypadku, który się jeszcze tak szczęśliwie zakończył? Ach! zwykły powód w obrębie stanisławowskiej dyrekcyi: znów owo klasyczne „obsunięcie się toru“. Doprawdy, wierzyć się nie chce, aby powodem tego ciągłego obsuwania się było lekceważenie obowiązków, może to raczej sławny „Sparsystem“, z którym od szeregu lat walczą nasi posłowie w parlamencie!

## Człowiek we flaszce!

Żyjemy w czasach takich niespodzianek i nadzwyczajności, co prawda bardzo często opartych na barnumowskich humbugach, że nic nas już dziwić nie powinno! Mimo to jednak dziwimy się prawie bez przestanku i głównie dlatego tylko, że wszystkie te cuda i cudności, które się przesuwają przed naszemi oczyma, są niespodzianką, czemś takiem, czegośmy nawet nie widzieli uniesieni bujną snu fantazyą...

Do nadzwyczajności tego rodzaju należy „pan Papuss“ najnowszy głodomór, który obecnie pozwala się podziwiać na scence „Kryształowego Pałacyku“ w Lipsku. Zdawało się, że po włoskich artystach sztuki głodzenia się, jak na przykład po Merlattim i Succim, albo po amerykańskim mistrzu drze Henryku Taimerze, nikt nie pokusi się o palmę zwycięstwa w tym kierunku. Zawiodły jednak świat owe wierzenia, bo oto z południowej Ameryki zjechał „pan Papuss“ który jednym zamachem sławę Succich, Merlathich i Taimerów zredukował do zera, a sobie zdobył niebywały rozgłos.

I nie myślcie, aby Papuss dłużej potrafił obejść się bez jedzenia niż tamci głodomorzy! Nie! On pobił ich na innym punkcie!

Oto pościł Succi, Merlatti i Taimer. Wszyscy oni powstrzymywali się od jedzenia, ale od czasu do czasu popijali wodę, a prócz tego używali ruchu. Papuss natomiast „tylko“ ośm dni i ośm nocy nie przyjmuje żadnych pokarmów stałych, ani też żadnych płynów, słowem przez cały ten czas prócz powietrza niczego niema w ustach, ale... też ośm dni i ośm nocy spędza prawie bez żadnego ruchu w... szklannej flaszczce swojego własnego pomysłu.

Szaloną tę swoją wytrzymałość muskułów i tę odporność na uczucie głodu świdrującego mu kiszki, nie tłumaczy on wcale jakąś nadnaturalną budową żołądka i wyćwiczeniu mięśni. Przeciwnie wprost oświadcza, że jedynie siłą własnej woli potrafi nakazać kiszkom milczenie, a muskułom tak straszną pracę fizyczną, wzbudzającą podziw nawet wśród lekarzy, którzy zgadzając się na jego tłumaczenie, to nadzwyczajne działanie woli uważają za rodzaj autosuggestyi.



**Człowiek we flaszce:** Amerykanin Papuss w swem szklannem więzieniu.

Produkcya Papussa udała się znakomicie. Po pewnych przygotowaniach, które są jego tajemnicą, rozebrał się do naga i obandażował całe ciało dość silnie bandażami z lnianego płótna i flaneli, aby uniknąć skurczu mięśni i zwolnić cyrkulacyę krwi, a tem samem i przemianę jej składników, poczem ubrał się i wszedł do sześciobocznej flaszki szklannej, wysokiej na 180 cm. a na 60 szerokiej, którą wypełniono zgęszczonem powietrzem i po osadzeniu w niej artysty hermetycznie zamknięto oraz zapieczętowano. Papus stosownie do programu spędził w niej ośm dni i ośm nocy, zmieniając stojącą pozycyę tylko o tyle, że na noc kładł się skośnie na jej szerokość. Pilnowany bacznie, po oznaczonym terminie wśród rzęsistych oklasków ciekawej publiczności opuścił swój „lokal“ nie dając nawet poznać swem zachowaniem się jakiegokolwiek zmęczenia.

Człowiek we flaszce, podziwiany obecnie przez cały Lipsk, stanowi ostatnią senzacyę dnia, jaka ukazała się na scenkach Váriétés i cyrkowych arenach, a że bądź co bądź „senzacya“ ta jest godną uwagi, przynosimy naszym Czytelnikom wieść o niej i podobiznę nowego głodomora w jego więziennej celi, flaszce.

## Mord i samobójstwo pod wpływem alkoholu.

Jedną z najstraszniejszych klęsk, najuporczywszych chorób społecznych nurtujących zdrowy organizm narodu — jest alkoholizm.

Pomijając bowiem, że się tak wyrazimy — doraźne skutki nałogowego pijaństwa, które człowiek dotknięty chwilowym szałem alkoholizmu popełnia, alkoholizm jako taki działa zabójczo i na dalsze pokolenia tych, którzy oddają się tej haniebnej namiętności i na równi z kiłą i gruźlicą stanowi ową straszną trójcę klęsk społecznych, stając się bezpośrednią przyczyną wyludnienia się i degeneracyi ludności.

Co znaczy człowiek w pijanym szale — jak nieobliczalne są jego czyny — mamy tego świeży przykład w strasznem zajściu, którego widownią była niedawno kasarnia wojskowa w Cieszynie.

Stosunki garnizonu cieszyńskiego miały i mają dotychczas jak najlepszą opinię i podwładni nie



**Mord i samobójstwo pod wpływem alkoholu:** Podoficer Schwab zamordowawszy przełożonego, odbiera sobie życie.



**Nasze filantropki:** P. Gostyńska opiekunka dezerterów we Lwowie.

mieli nigdy powodu uskarżania się na swych przełożonych. Jednym z najsympatyczniejszych oficerów lubianym przez żołnierzy i poważanym przez kolegów był młody świeżo mianowany porucznik Franciszek Gruss. Dbał on nietylko o ścisłe pełnienie służby wojskowej żołnierzy, lecz co ważniejsza przestrzegał przedewszystkiem, by podporucznicy, kaprale i fürerzy nie dopuszczali się żadnych nadużyć, wobec bezbronnego i na pastwę ich brutalności wydanego rekruta.

Młody Franciszek Grus miał przedewszystkiem na oku sierżanta,nazwiskiem Szwab, oddającego się nałogowi pijaństwa, nietylko zaniedbywał obowiązki służbowe, lecz nawet pozwalał sobie na wykroczenia przeciw ludzkiemu traktowaniu podkomendnych.

Widząc, że i poufne napomnienia i urzędowo nakładane kary nie działają na pijaka „feldwebla", chwycono się innego środka. Szwab musiał stricte punkt o godzinie 11 w nocy być już w kasarni, aczkolwiek feldweblom służącym dłużej przy wojsku — zwierzchnicy dozwalają zazwyczaj milczące większej swobody w rozporządzaniu swym czasem.

W ten sposób chciano bodaj częściowo ochronić niepoprawnego pijaka od zgubnego wpływu wódki i szynku. Usiłowania te na nic się jednak nie zdały, ba doprowadziły nawet do strasznej katastrofy, o której wieść lotem błyskawicy przedostała się z murów koszarowych — w daleki świat.

Porucznik Gruss pełnił właśnie dnia krytycznego kolejną swoją inspekcyę, czyli t. zw. „dyżur". Zjawia się w jego kancelaryi sierżant Szwab i w sposób natrętny domaga się przedłużenia mu „przezczasu", czyli pozwolenia na dłuższy pobyt w nocy po za kasarnią. Porucznik widząc już podniecony stan proszącego — odmawia. Feldwebel poddaje się pozornie rozkazowi i opuszcza kancelaryę.

Zamiast jednak udać się na spoczynek — jak jego stan tego wymagał, udaje się feldwebel do knajpy, gdzie w gronie kompanionów odgrażał się swemu porucznikowi, że „zniewagę" wyrządzoną sobie — potrafi pomścić.

Po sutych libacyach wrócił feldwebel Szwab do kasarni. Nieszczęście chciało, że na korytarzu napotkał właśnie porucznika Grussa, który w ostrych słowach zwrócił mu uwagę na niewłaściwość jego postępowania.

W tej chwili dobywa strofowany rewolwer— huk strzału i zraniony pada porucznik na ziemię. Następują kolejno trzy strzały. Każdy z nich śmiertelny i ofiara martwa leży na ziemi. Uchodząc ludzkiej sprawiedliwości odebrał sam sobie zabójca życie czwartym strzałem.

## Dom polski w Czerniowcach.

Rozwój życia narodowego we wschodniej Galicyi odbił się bardzo silnem echem na całej Bukowinie, gdzie według urzędowego spisu ludności, żyje przeszło 30 tysięcy Polaków, szczególnie zaś w samych Czerniowcach. W ostatnim czasie objawił się wśród mas tych silny ruch, dążący do skupiania i uświadamiania szerszych mas, czego wyrazem jest powstanie kilku nowych Towarzystw polskich.

Czerniowiecki żywioł polski, czujący potrzebę łącznej pracy, grupuje się od lat 35 około Towarzystwa „Bratniej pomocy" i „Czytelni polskiej", a dążąc do zdobycia realnych podstaw rozwoju,ześrodkowało towarzystwo swoje usiłowania ku wzniesieniu własnego domu.

Sprawa budowy domu przechodziła różne fazy w ciągu ostatnich lat i nareszcie po kilkuletniej żmudnej pracy, Towarzystwo polskiej bratniej pomocy i czytelni polskiej, oraz ognisko jednoczące w sobie działalność zamieszkałych w kraju tutejszym Polaków, nabywszy przed dwoma laty, gdy na czele instytucyi stał znany mecenas Dr. Strzelbicki — dom przy ul. Pańskiej, po odrestaurowaniu go i przeprowadzeniu niezbędnych robót adaptacyjnych w domu tym, gdzie znajdą pomieszczenie wszystkie stowarzyszenia polskie w Czerniowcach i redakcya czerniowieckiej „Gazety Polskiej", onegdaj się zainstalowała.

Możemy być dumni z tego pierwszego zwycięstwa— ale niechaj nastąpi pod wspólnym dachem jedność, miłość i zgoda, niechaj w tym polskim Domu ogrzewa wszystkich i bez różnicy stanów i zawodów chęć pracy i poświęcenia dla własnych polskich ideałów.

Uroczyste poświęcenie domu polskiego odbędzie się dopiero na wiosnę, skoro ukończoną zostanie budowa obszernej sali wraz ze stałą sceną — ale niechaj nam wolno będzie wyrazić nasze życzenia z powodu radosnego i tak doniosłego w następstwa dla bukowińskiej Polonii faktu.

## Nasze filantropki.

Twardy to los, los uchodzącego przed szynelem. Ileż to razy musi rzucić korzystny zarobek, narażając się na nędzę. Często, bardzo często opuszcza rodzinę, pozbawiając ją chleba; opuszcza żonę ukochaną i drogie sercu dziatki, opuszcza je uchodząc przed pewną niemal śmiercią. Lecz czy go czasem nie mylą rachuby? Wszakże już tam, na granicy, czeka go kulka strażnika, potem tyle jeszcze przeszkód, cała pielgrzymka tułacza o głodzie i chłodzie.

We Lwowie ciężko — w tem mieście pracy nie wiele, a rąk wyciągających się do taczki wielkie mnóstwo. Brak pracy wywołuje nieraz sam przez się rozruchy. Cóż dopiero, gdy naraz spadnie wygłodniała masa nieszczęśliwych, gotowych podjąć pracę za najmniejszą cenę!

Ten stan, budzący niepokój obudził i litość.

Zewsząd słyszymy o naradach, mających na celu pomoc dla dezerterów. Świeżo zawiązał się komitet, składający się z pp. Gostyńskiej, dra Langiego i redaktora Laskownickiego. Zwłaszcza p. Gostyńska, znana filantropka lwowska, kołacze z zaparciem się siebie do serc, wrażliwych na nędzę bliźniego. Dotychczas udało jej się zdobyć małą sumkę, mającą pokryć chwilowo koszta noclegu i pożywienia. Kupiono za nią pewną ilość koców i sienników i urządzono dezerterom w salach dawnej szkoły imienia św. Marcina chwilowy przytułek, gdzie również dostają herbaty.



**Nasze filantropki:** Wiceprezydentowa p. Michalska protektorka herbaciarni we Lwowie.

W tej myśli otworzono też we Lwowie w dniu 3-go grudnia herbaciarnię centową przy ul. Grodeckiej, gdzie za marny grajcar, może biedak otrzymać szklankę herbaty z bułką. Na czele stanęła pani wiceprezydentowa Michalska, której osobistym zabiegom i trudom, udało się zebrać już pokaźną sumę, na cele zimowego przytułku dla biednych.

Przykład tych obu filantropek niechajże pobudzi i dobroczynność prywatną, zwłaszcza przy nadchodzących świętach. Przeznaczajmy kwoty, używane przy rozsyłaniu listów noworocznych, na rzecz ubogich, pamiętając, że kultura kraju mierzy się nietylko ilością bywalców teatralnych, lecz i ilością biedaków, potrząsających łachmanem na rogach ulic.



Fot. Bahrynowicz. Czerniowce.

**Dom polski w Czerniowcach:** Dom przy ulicy Pańskiej, mieszczący wszystkie polskie stowarzyszenia.

# Wiarołomna żona.

**WSPOŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.**

11 (Ciąg dalszy).

Tak marzyli oboje i kołysało ich owo marzenie, kołysało ich uczucie szczęścia i nie zważali, że wiatr huraganem bije o statek, że wody wyrzucają z siebie olbrzymie potwory bałwanów, że parowiec przechyla się, wstrząsa, podnosi i opada. Oni szczęśliwi!

Opodal siedziała starsza para. Może sześćdziesięcioletni mężczyzna, czerstwy, świeży, rumiany, o wejrzeniu łagodnem, dobrodusznem, wesołem. Przy nim nie o wiele zapewne młodsza kobieta, o rysach twarzy szlachetnych, powleczonych mgłą spokojnego smutku. Oboje wpatrywali się w Hanię i Ryszarda z jakiemś serdecznem zajęciem.

— Istotnie, rzekł ów mężczyzna do swej towarzyszki — prawda, dziwne podobieństwo.

— Nawet podobny uśmiech. Co też za jedni?

— Ot, jakaś młoda para w podróży poślubnej.

— Żeby się też jako poznać z nimi.

— Daj spokój moje dziecko. Po co im przeszkadzać, niech sobie gruchają.

I umilkli oboje i znowu wpatrywali się w młodą parę.

Tymczasem rosła burza i huczała piekielną grozą, a miotała statkiem, jakby go chciała wrzucić w paszczę rozżartego morza. Nawet zakochani zadrżeli, nawet spokojna, cicha para, na zakochanych miłościwie spoglądająca, ujęła się rękoma, jakby w obawie, by ich co nie rozdzieliło, złączonych przed trzydziestu kilku laty przed ślubnym ołtarzem. Zamęt, niepokój, huk bałwanów, wycie wichrów, wściekła złość żywiołów — a zarazem lęk straszny i rozpaczliwe wykrzykniki, ciche, gorące modlitwy, czarne rozpacze tych, co mieli serce przed Bogiem zamknięte i poważne rezygnacye tych, co nie wyrzekali się nigdy Boga. To wszystko mięsza się, zespala w straszne akordy śmiertelnego hymnu, w bojowe hasła walki życia ze śmiercią.

Ryszard ujął Hanię, ona tuliła się do niego. Spoglądali sobie w oczy taką siłą miłości, że gdyby ich nagle zalała fala, możeby nawet nie czuli, nie widzieli, że umierają.

Straszne godziny tych zapasów życia ze śmiercią były dla podróżnych i załogi długie, bo tak już z woli Bożej ułożyło się na świecie, że godzina radości wydaje się sekundą, a sekunda cierpień godziną.

Zwolna rozciągać się zaczęły po źwierciadle wód spiętrzone fale, bo wichry pognały innym prądem. Statek uspokajał się, prostował na wodnej drodze, a i chmury rozdzierały się zwolna, rozlatywały, lub tonęły w morzu. Otucha zaczęła wstępować w ludzi, gdy słońce pęk promieni rzuciło na parowiec i złotą smugę rozścieliło na morzu.

— Już złe minęło, co? — rzekł ktoś do kapitana okrętu.

— Jeden nieprzyjaciel nas opuścił – odpowiedział kapitan, ale zbliża się drugi, groźniejszy.

— Cóż takiego kapitanie?

— Mgła. A to źle, bo nas burza spędziła ku wybrzeżom. Maszyny uszkodzone, słowem: baczność, bo o nieszczęście nie trudno.

Rozmawiali cicho, ale słyszeli rozmowę i Ryszard i Hania, bo stali tuż, przytuleni do słupa, niedostrzeżeni.

Hania zadrżała wielkim lękiem. Ryszard przycisnął ją do piersi i tulił i dłoń położył na jej głowie, jakby ta dłoń tarczą była, co ma Hanię od wszelakiego ciosu osłonić.

— Najdroższy! jedyny! szczęście moje! szeptała Hania.

— O moja gołąbko, żono moja — szeptał Ryszard.

— Tak, nie opuszczaj mnie, trzymaj. Jeżeli mamy zginąć, to zgińmy w uścisku.

— Haniu moja! My nie zginiemy, Bóg nas ocali; to nie możliwe, by naszym rodzicom Bóg zagładę przeznaczył.

— Módlmy się!

I z serc ich płynęła do Boga modlitwa rzewna, dziecięca, gorąca, a na morze zsuwała się biaława opona mgły gęstej, wilgotnej, łzawej. Za tą oponą nic widać nie można, ni statku, ni ludzi. Pod mgławicą szum fali morskiej, zgrzyt maszyn na parowcu, echa sygnałów, tem silniej działają na słuch, że oko niczego dopatrzyć nie może.

Lęk coraz większy, powszechny. Podróżni skupiają się bezwiednie, jakby im w tem skupieniu było bezpieczniej, to znowu zasłaniają oczy, aby się okłamać i powiedzieć sobie, że to sen, nie jawa.

Nagle usłyszano stłumiony ryk, jakby jakiegoś olbrzymiego potworu. To parowiec ryczał, dając tem znaki swego istnienia, przestrogi dla innych statków, aby weń nie uderzyły. Krew ścina się w żyłach ludziom, co po raz pierwszy to słyszą. Ryk ustał – a natomiast zahuczał grzmot strzału armatniego.

Podróżni zaczęli się tłoczyć, nawoływać. Tłum zbił się w kupę, zgniótł się, zdusił; potem rozprężał, rozdymał, rozwalał pięścią, rozpychał łokciami. Krzyk, wrzawa, łomot, przekleństwo i skargi. Ryszard osłaniał Hanię silnem ramieniem, docisnąwszy się szczęśliwie na pokład. Ona drżała z przerażenia, omdlewała na jego piersi, a on wysilał męską energię, aby nie stracić przytomności umysłu i zimnej krwi. Czuł, widział, że tego mu bardzo potrzeba w tej chwili, bo widoczne było niebezpieczeństwo.

Kap tan i oficerowie uspokajali podróżnych, zapewniali, że jeszcze nic się nie stało groźnego — i zwolna uciszyło się na statku... Po wysiłkach nerwowych, nastała chwilowa apatya. Co pewien czas słońce rozpruwało mgławicę i wciskało się na statek, a wtedy upajano się radością, że minęła już groza niebezpieczeństwa. Ale wnet mijała radość, gdy mgła pochłonęła słoneczne promienie i zamknęła słońce przed ludźmi.

Statek płynął, leniwie prując falę morską. Kołysała nim, pędziła go, a on miał mało siły, by się jej oprzeć. Opanować jej nie mógł, bo popsuta maszynerya, ledwie jako tako działała, jak człowiek ostatnie wydający tchnienia. Niekiedy wiatr się zerwał, mgłę rozdarł, a statkiem o falę rzucił, jakby się z nim mocował i powalić go pragnął.

I znowu ryk sygnałów i znowu gromy armatnie, a statek już nie płynie własną wolą i mocą, jeno fala go niesie i niesie i jedna drugiej go podaje. Noc zapada. Wszyscy podróżni zostali na pokładzie, nikt nie miał odwagi wejść do środka, do kajut. Ryszard otulił Hanię, ogrzewał własną piersią, bo kostniała z zimna i wilgoci.

Kapitan kazał porozdzielać przyrządy ratunkowe, przygotować łodzie. Ciemnica była taka, że mimo licznych latarni na statku, o dwa kroki nic widać nie było. Nagle błysnęły z boku dwa czerwone światła, jak olbrzymie ślepie jakiegoś potwora. Na statku zawzięcie ryknęły hasła, zagrzmiały armaty: potwór o czerwonych ślepiach nie odwrócił się, nie uszedł, lecz uderzył kadłubem w statek. Parowiec zachwiał się nagle, rzucił w bok; wiązania zaczęły w nim trzeszczeć, łamać się, rozpadać. Rozpaczliwe krzyki podróżnych, łomot rozpadającego się parowca, sygnały marynarskie, huk armat, szum morskiej fali i czarna bezdeń nocy, to niby piekielne widma, stokroć groźniejsze, niż szał bojowy w zażartej bitwie na lądzie.

Straszną była ta mimowolna podróż poślubna Ryszarda i Hani.

Zniknęły czerwone ślepie, potwór zanurzył się w odmętach, zalały go piany fal, a wiry chwytały w coraz dalsze głębie, aż spoczął na dnie i zbudził tam śpiące tajemnice morza. Ile żywotów ludzkich przepadło, zmarniało — ile mąk śmiertelnych przybyło w rejestrze ludzkich cierpień, o to nikt się na statku nie troszczył, o tem nikt nie myślał, mając śmierć własną przed oczyma.

Statek zanurzył się tyłem kadłuba, ociężał, ale wlókł się jeszcze, dyszał ostatnim wysiłkiem parowej maszyny i trzymał na wodzie.

Szarzeje, dnieje, coraz jaśniej; mgła ustąpiła, słońce zatoczyło się na niebo, uroczyście, wspaniale, jakby na urągowisko znękanym podróżnym, a nie na pociechę, bo przy jego blasku spostrzeżono dopiero, że statek przepada, zanurza się, ginie.

Zdala widać ląd. Fala niesie statek ku jego wybrzeżom, płaskim, piaszczystym. Nigdzie nie widać bezpiecznego schroniska, ni portu, ni zatoki.

Tylna część statku coraz bardziej się zanurza i zatrzymuje go, jakby ciągnęła w dół, w przepaść. Statek stanął i w jednej chwili dobyły się z niego wściekle syczące kłęby pary. Woda zalała kocioł. W tejże chwili nastało wstrząśnie gwałtowne, statek zarył się w ławę piaszczystą.

— Do łodzi! — krzyknął kapitan.

Z tonącego parowca tłoczą się, spychają podróżni w piekielnym zamęcie; rozbijają pięściami, kąsają zębami, kopią, szaleją, dzicy, rozpasani. Ryszard pochwycił Hanię, uniósł ją omdlałą, dopadł do krawędzi pokładu, ujął jedną ręką linę, w drugiej trzymając Hanię, i po linie dostał się z nią do łodzi ratunkowej.

Łodzie zapełniły się w mgnieniu oka i rozproszyły po kołyszących się falach, a w statek coraz bardziej wciskała się woda. Łódź, na której znaleźli się Ryszard z Hanią, odepchnęła fala i strąciła na bok, gdzie wir ją pochwycił, zakręcił nią gwałtownie i wtłoczył w lejowate wydrążenie wody. Ci co na niej unosili nadzieję ocalenia, nawet nie zdołali wydać okrzyku, tak błyskawicznie ich wtłoczył w grób morza, ów straszny grabarz wodny: wir.

Zniknęła łódź, przepadła — morze pieni się nad wirem — a z niego wynurzają się głowy, ręce, to silniejsi walczą o życie. Ryszard prawą ręką rozgarnia wody, lewą trzyma Hanię; oczy rozwarte szeroko, świecą dogasającą energią, ramię coraz słabiej rozpiera się po wodzie, już głowa zaczyna mu zwisać. Jeszcze czyni wysiłki, jeszcze rzucił się ramieniem naprzód i woda zalewać go już zaczęła.

W tej właśnie chwili dopłynęła ku niemu łódź inna. Jeden z majtków rzucił się w wodę, chwycił Ryszarda — uniósł — ocalił — umieścił na łodzi. Ryszard omdlały był, bezprzytomny. Łódź goniła dalej ku brzegom, z ocalonym Ryszardem, a byli na niej ów pan starszy z żoną, co tak się wpatrywali w Ryszarda i Hanię na statku.

## To być nie może.

Baronowa wyczekiwała wiadomości od Ryszarda — niespokojna, tęskna, osamotniona. Pocieszała się nadzieją, że Ryszard szczęśliwie dostanie się za granicę, ale serca matki nawet nadzieja uspokoić nie zdoła; sercu matki trzeba pewności. Modliła się gorąco, rzewnie i zdążała myślą i sercem po nieznanych drogach, szukając tam syna i synowej. A gdzie oni? a czy już dotarli do portu? a może już płyną na morzu? a może... może ich ujęto?!

— Boże! ratuj! — zawołała pod wrażeniem tej myśli – i znowu utonęła duszą w modlitwie,

W taką to chwilę wszedł Bertold z telegramem. Umówiono się, że Ryszard wyszle z portu telegram do plebana, na znak, że szczęśliwie uszli pościgu. Pleban otrzymał go właśnie i przysłał.

„Misyonarze już odpłynęli; obaj zdrowi. Prosili o modlitwę. Steinfels".

Baronowa przeczytawszy, padła na kolana i zalała się łzami radośnie.

Dzielił tę radość poczciwy Bertold i ocierał łzy i uśmiechał się i kręcił po pokoju, jakby mu się podskoczyć chciało.

Baronowa, skończywszy modlitwę, podniosła się, zbliżyła do Bertolda, położyła rękę na jego ramieniu i rzekła z uczuciem:

— Niech ci Bóg nagrodzi wszystko, co uczyniłeś. Twoja to praca, twoja to zasługa. A teraz trzeba mi pojechać do miasta, żeby pocieszyć biednego Sternegga. Niechże się dowie, że dzieci już bezpieczne.

— A może to daremnie, pani baronowo, bo nas tam do niego nie puszczą.

— Sądzę, że mi nie odmówią. Wszakże nie może to budzić żadnych podejrzeń sądowych. Jedźmy zaraz.

Bertold znowu sam wziął lejce do ręki i zawiózł swą panią do stolicy. — Zatrzymano się przed budynkiem więziennym. Baronowa weszła do biura dyrektora więzień.

— Chciałam pana prosić, aby mi wolno było zobaczyć się ze Sterneggiem.

— A, pani baronowa! Myślałem, że pani przybyła, aby nam udzielić wyjaśnień, dokąd syn uciekł. Może już pani zna jego adres.

– Panie — odpowiedziała baronowa z godnością — zapewne niema takiej matki, którąby to uczyniła, gdyby nawet wiedziała. A mogę zapewnić, że nie wiem wcale, gdzie w tej chwili syn mój przebywa.

— A, nie przeczę, nie przeczę. Nawet nie można od pani tego żądać, zwłaszcza, że sąd nie ma żadnego dowodu, czy pani baronowa wiedziała o planie ucieczki. Jednak muszę ostrzedz, że jesteśmy na tropie i zbiega pochwycimy, a nierozważna ucieczka tylko pogorszy całą sprawę.

— Sąd przekona się ostatecznie, że syn mój niewinny. Ucieczka mego syna ocala sąd od popełnienia strasznej zbrodni, przez skazanie niewinnego. A teraz ponawiam prośbę, aby mi wolno było rozmówić się z panem Sterneggiem.

Dyrektor nie odpowiedział zaraz, zamyślił się, jakby się chciał otrząść z jakiegoś zakłopotania, a potem spozierając z ukosa na baronowę, zapytał:

— Jakaż to sprawa zniewala panią do widzenia się z tym więźniem?

— Przynoszę temu nieszczęśliwemu pozdrowienie od córki.

— Od córki? A czemuż nie zjawiła się tu sama?

— Bo wyjechała. — Szuka dla siebie posady za granicą.

Dyrektor uśmiechnął się złośliwie.

— Pani baronowa ma złe informacye, bo Anna Sternegg uciekła z kraju, a uciekła z synem pani. Ta dziewczyna dopuściła się zbrodni, pomagając w tak bezczelny sposób do ucieczki więźnia. Zresztą pani baronowa wie o tem dokładniej odemnie. Nieprawdaż? Czy nie raczyłaby pani opowiedzieć, jak się to wszystko uknuło?

— Panie dyrektorze! Zdaje mi się, że nie zostałam tu wezwana do śledztwa. Zechce mnie pan uwolnić od tego przesłuchania, do którego, o ile sądzę, nie ma pan upoważnienia. A teraz po raz trzeci upraszam, abym się mogła widzieć z panem Sternegg.

Dyrektor zamyślił się, znowu jakiegoś doznał zakłopotania, zaczynał coś mówić, ale były to tylko głoski, tylko sylaby.

— E, hm, tak — bo — bo właściwie nie rozumiem. No — nie mogę spełnić życzenia pani, zakończył wreszcie pospiesznie, jakby się chciał zbyć dalszej rozmowy.

— Czy wolno zapytać, dlaczego mi pan tego odmawia?

— Czy pani nie czytała dzisiejszej gazety urzędowej?

— Nie panie. Ale cóż za związek gazety z moją prośbą?

— Ależ bardzo wielki. — Ubolewam, że pani baronowa przybyła za późno.

— Za późno? Czyżby doznał Sternegg jakiego nieszczęścia? Boże! cóż się stało?

— Rzecz zupełnie prosta, zrozumiała. Sternegg popadł w gwałtowny rozstrój nerwów i w przystępie szalonego rozdrażnienia odebrał sobie życie.

— Czy być może?! zawołała baronowa z największem przerażeniem.

— Wszakże gazeta urzędowa nie kłamie — rzekł z powagą biurokratyczną dyrektor.

— Ależ może się mylić!

— Gazeta urzędowa nie może się mylić!

— Człowiek z takim charakterem, z taką wiarą, tak uczciwy, wytrwały, dzielny, nie mógł popełnić samobójstwa.

— Znaleziono go w kaźni powieszonego. Powiesił się. Żal mi go bardzo.

Baronowa osłupiała; tarła czoło, skupiła myśli, czy to na jawie, czy to sen, wreszcie zawołała z ożywieniem:

— Nie, nie, nie może być. Ten człowiek sam się nie zabił. Nie — to być nie może. Nie, nie, nie wierzę — przysięgać będę, że samobójstwa nie popełnił. To być nie może. Jego podstępnie zgładzono, zamordowano, aby się pozbyć głośnego procesu, skandalu.

— Pani baronowo! ani słowa więcej! Byłbym zniewolony podejrzenia pani przedstawić sądowi.

— Rozumiem pana, panie dyrektorze, że pan słuchać tego nie chcesz, ale choćbyś pan oskarżył mnie nawet przed samym monarchą, będę powtarzała: to być nie może. O! zbrodnia po zbrodni! Ale jest Bóg i sprawiedliwość wymierzy!

— Pani baronowo, zajęcia urzędowe nie pozwalają mi być dłużej na rozkazy pani — rzekł dyrektor z ironiczną grzecznością i otworzył drzwi.

Baronowa zebrała siły, podniosła się z godnością i wyszła pełna dystynkcyi i majestatu. Był to majestat boleści i... pogardy.

Z wysiłkiem zeszła po schodach. Bertold czekał przy stopniach powozu. Twarz miał bladą, zmienioną, przerażoną.

— Jedźmy do domu pani baronowo, a prędko. Coś powiem.

Pomógł wsiąść chwiejącej się pani do powozu, wylazł na kozioł, zaciął konie i ruszył z miejsca, jakby przed widmem uciekał.

Przez całą drogę rozmyślała baronowa nad tą straszną wieścią, a jakiś głos odzywał się jej w głębi duszy: to być nie może.

Wrócili. Bertold rzucił lejce stajennemu i pospieszył za panią. Baronowa rada była temu, bo domyślała się, że Bertold dowiedział się czegoś od Wawrzyńca.

— Czy jaśnie pani dyrektor powiedział, że... że... niby... tego...

— Ach! powiedział rzecz straszną.

— Niby, że pan Sternegg... powiedziawszy... niby... to...

— Nie chcesz wymówić poczciwcze.

— A no, bo dławi w gardle. Bo to proszę jaśnie pani nie może być...

— I ty tak myślisz? O, poczciwy Bertoldzie, słusznie mówisz, że to być nie może.

— A tak, tak. Wawrzyniec mi powiedział wszystko, ale jakby pod przysięgą. Ot dobry brat, uczciwy człowiek.

— Cóż się więc stało?

— Tak było. Zajechał kryty wóz, co to w nim więźniów przewożą. Wsadzono do niego pana Sternegga i wywieziono. Dyrektor powiedział, że go przewożą do drugiego więzienia, które jest przy szpitalu, bo niby chory. Na drugi dzień narobił dyrektor hałasu, że Sternegg powiesił się w nowem więzieniu. Wawrzyniec poszedł tam dowiedzieć się, jak to było i chciał zobaczyć wisielca, ale mu powiedzieli koledzy, że trupa zaraz zabrano i pogrzebano, a nikomu patrzeć na niego nie pozwolono. Nikt też nieboszczyka nie widział i nikt nie widział żadnego pogrzebu. Ludzie przebąkują, że pana Sternegga gdzieś wtrącili, albo go wywieźli tak, aby się nikt o nim nie dowiedział.

— Straszne rzeczy! Ciężka będzie kara Boska na tych ludzi.

— Powiadają też, że to sprawa pani Klary, aby się uwolnić od męża i swobodnie ciągnąć młodego księcia. Ot, tyle. Niech Bóg odwróci wszystko złe! Wawrzyniec powiada, że nikt w to nie wierzy, żeby pan Sternegg sam się zabił. O, co nie, to nie. Nie może być.

Umilkł Bertold, opuścił głowę i stał smutny, znękany, jakby się miał z nóg zwalić.

— Idź spocząć Bertoldzie. Bogu polećmy wszystko. A tymczasem pocieszajmy się, tym głosem, który nam mówi w duszy: to być nie może.

## Jak przed burzą.

Agata postawiła na swojem. Książę słuchał jej opowiadania niecierpliwie, rozdrażniony. Staruszka mówiła, jak mogła, a nie tak jakby książę pragnął. Musiał wyciągać słowo po słowie, aż wreszcie dowiedział się całej prawdy.

— A dokądże wywieziono ową panią? pytał książę, siląc się na spokój i cierpliwość.

— Aj, nie wiem, nie wiem. Jużcić nikt nie chciał nic powiedzieć, jeno pastuch był w lesie i widział, jak pędził powóz na Hexenstein. To niedaleko z Landesbergu, może tylko z godzinę trzeba jechać. Na Hexenstein jest jeszcze wieża, tyle pozostało ze starego zameczku. Proszę waszej książęcej miłości, może to tam zawieźli ową panią, bo kogóżby?

— Dziękuję ci moja pani za poczciwość, bardzo dziękuję. Wyświadczyłaś mi wielką przysługę.

— Ja też to zaraz poznałam, że wasza książęca miłość szuka owej pani. Pomyślałam sobie, że to musi być coś złego, skoro się boją waszyj książęcej miłości. Ale cóż? hrabianka kazała trze mać język za zębami, tośmy się bali, żeby nie stracić chleba na stare lata. Mój nie chciał, żebym tu przyszła, ale na mojem stanęło, bo to przecież nie godzi się oszukiwać monarszego rodu. Co najjaśniejsze, to najjaśniejsze. Ale się bardzo boję, żeby nas za to nie spotkała bieda.



Ryszard omdlały był i bezprzytomny...

— Bądźcie zupełnie spokojni poczciwi ludzie, ja się wami zaopiekuję. Spełniliście dobry uczynek, bo to przecież straszna niegodziwość zamykać przed światem młodą kobietę.

— A jużcić. Mnie się też tak wydało. Żeby owa pani była co złego zrobiła, toby ją byli zamknęli do kryminału, a wasza miłość byłaby jej przecież nie szukała.

— Słusznie mówisz, moja kobieto. A proszę mi powiedzieć, czy nikt owej pani nie widział w zamku?

— Jakżeby mógł kto widzieć, kiedy tam do niej nikogo nie wpuszczano. Hrabianka zakazała. A kiedy ją wywozili, to tak prędko i w zamkniętej karecie, że niktby niczego nie dojrzał.

— Jeszcze raz wam dziękuję, moja pani. Spełniliście dobry uczynek. Nagrodę otrzymacie, a nie lękajcie się nikogo i niczego, bo ja się wami zaopiekuję. Bądźcie zdrowi moja kobieto.

Agata wyszła; Łukasz na rozkaz księcia wyprowadził ją z zamku, tak by jej tu nikt nie widział. Gdy książę został sam, rozpętały się w nim płomienie gniewu, oburzenia, wściekłości. Cała fala młodzieńczej namiętności ogarnęła mu rozum, rozwagę, trzeźwość myśli, uniosła go, miotała nim, opanowała go zupełnie. Zemścić się na hrabiance, zemścić na Wurmie, upokorzyć ich, zdeptać! Wyzwolić się z tych cieni intryg, uwolnić Klarę, zabezpieczyć ją sobie. Choćby miał zerwać wszekie węzły stosunków dworskich, choćby miał złamać dynastyczne względy, musi używać swobodnie tej miłości, która go przykuwa do Klary. Czemu go zmuszają do wstrętnego małżeństwa? czemu igrają z jego sercem, z jego wolą, z jego życiem? Czy ludzie panującego rodu mają żyć jak niewolnicy? Czyż ten, co ma nosić koronę, musi wyrzec się ludzkich pragnień, upodobań, uczuć?

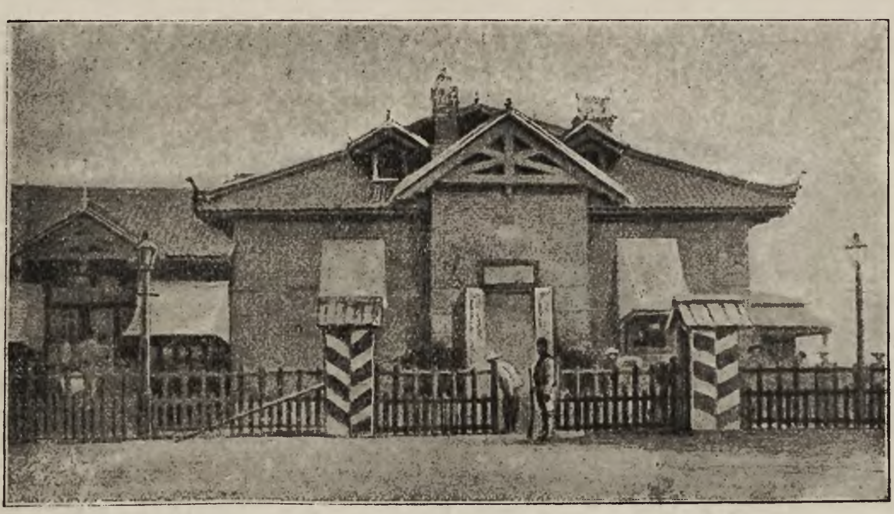
Wrzało w duszy księcia. Wulkaniczne podniecenie wzrastało w nim w miarę tego, jak myślał o Klarze, jak sobie wyobrażać zaczął jej niepokój, jej cierpienia. I ona rosła w jego wyobraźni, jaśniała, zamieniała się w ideał kobiety, w ofiarę niegodziwości; wznosiła się na piedestał, niemal na ołtarz. Oślepiony temi złudami roznamiętnienia, postanowił rzucić do stóp Klary i Wurma i hrabiankę i dwór cały.

Ale działać mu trzeba prędko, dosadnie, natychmiast. Zadzwonił. Wszedł Łukasz.

— Wybieram się na polowanie; pojedziesz ze mną. Łowczy ma być gotów za pół godziny. Zaprosisz też hrabiego Buchenau, żeby mi towarzyszył.

Łukasz chciał odejść.

— Czekaj. Mnie się zdaje, że ty za często widujesz się z marszałkiem dworu i z hrabianką Landesberg. Ostrzegam, że gdybyś im służył i był tu szpiegiem moim, zginąłbyś marnie. Umiem nagradzać, ale i karać umiem. C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Kwatera Kuropatkina.

# Z wojny rosyjsko-japońskiej.

***Pod portem Artura.*** Czytelnik nowości wojennych ma nielada zadanie. Mózg jego, niby przetak, zasypują olbrzymią zamiecią depesz, szczegółów, wieści pogłosek, szkiców, fejletonów i doniesień. Plewy nakrywają sążnistą warstwą garść ziarna. A te plewy, to także nielada przyprawa. To w tyglu dwudziestu stuleci przygotowany eliksir kłamstwa.

Kłamią wszyscy, od maleńkiego pionka począwszy, a skończywszy na królu tej partyi szachowej, jaka się rozgrywa w Azyi wschodniej. Więc niechże ziarna szuka sam czytelnik, my ze swej strony pragniemy mu do tego dopomódz.

Ze strony rosyjskiej nie słyszeliśmy ani jednego jęku, ani jednego okrzyku zniechęcenia. Ztamtąd brzmią oficyalnie same pobudki do walki, same okrzyki wojenne.

Twierdza nie będzie nigdy zdobytą! Twierdza jest nie do wzięcia! Ztamtąd słychać tylko gromkie rozkazy.

Oto jeden z nich:

„Okryci sławą obrońcy Portu Artura! Butny wróg wzywa nas do poddania się.

Przeczuwam waszą odpowiedź. Cześć i sława Rosyi, dyktuje ją naszym admirałom i jenerałom. Ta odpowiedź, to nasze granaty.“

Tylko niekiedy mroczy się obraz rosyjskiej nadziei i ochoty. Dzieje się to wtedy, gdy Japończycy przejmą rosyjskie meldunki i depesze.

Wtedy naraz wyłania się z obłoków, ciążących nad głośnym portem, widmo rozpaczy, a czytelnicy widzą bohaterską garstkę więźniów oblężonego portu, jak wygłodniali, żółci, okryci bandażami, przez które krew przecieka, wloką się ku armatom i niby duchy słaniają się po scieżkach fortecznych. Walczą już nie o Rosyę i nie o honor, nie o fort i nie o zwycięstwo, lecz walczą o śmierć samą, do której im tęskno.

Wtedy nad tą fortecą, niby nad ścianą pałacu Baltazara zdają się błyskać słowa ogniste: Mane Tekel Ufarsin, które przetłómaczone na słowa Stösslowej depeszy brzmią: Nie jestem w stanie utrzymać dłużej twierdzy, garnizon mój zupełnie wygłodzony.

Tymczasem Japończycy odpowiadają prawdziwem opętaniem ataku na maniactwo oporu twierdzy. Nie straszą ich kolczaste druty, w które wpadają, niby zwierzęta w zastawione paści, nie straszą wilcze doły, w których się nabijają na potworne rożny, skryte w głębi lochu, nie straszą pionowe niedostępne ściany fortów, nie straszy ogień, skała i śmierć.

I dlatego też, że Japończyków nie straszy nic, prócz przyszłości, o którą się lękają i o którą walczą, a że ich wspiera niezwyciężona wiara w cel wielki i w słuszność swego boju — dlatego, choć twardo, bo piędź po piędzi, zdobywają coraz nowe przeszkody i coraz ciaśniejszym pierścieniem ściskają oblężonych. Nazwy podawanych fortów trudno sprawdzić, pogłoskom trudno dawać wiarę, faktem jest jednak, że zniszczono nowe partye szańców rosyjskich, że założono cały szereg nowych min i zajęto kilka nowych redut. Że praca oblężnicza wre w najlepsze i że Japonia nie szczędzi wysiłków, to nie ulęga wątpliwości. Wszelkie więc ostateczne terminy zdobycia Portu Artura, jak n. p. i ten ostatni podobno 20-dniowy, należy przyjmować ostrożnie, zaś na obraz wyczerpujący i na ścisłe tych portarturskich zapasów studyum, dziś jeszcze nie pora.

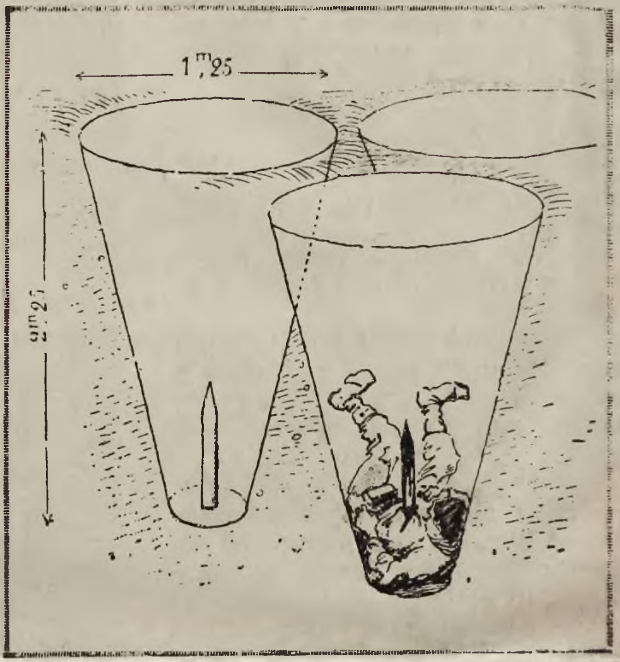
Niemniej jednak ciekawą jest rzeczą przyglądnąć się szczegółom, rzucającym na toczącą się wojnę tyle światła.

Między innymi dowiadujemy się, że Japończycy opracowali nowy system sygnalizacyi przy potyczkach nocnych. Mianowicie używają Japończycy do tego celu baloników papierowych, napełnionych ogrzewanym powietrzem.

Do baloników tych przytwierdzają różnego koloru latarki, przy pomocy których podają sygnały. W noce księżycowe urządzają reflektory z polerowanej blachy dla podawania tychże sygnałów świetlnych. Nie koniec na tem, bo oddziały strażnicze japońskie posługują się z wielkiem powodzeniem usługami psów tresowanych. Czujność tych psów jest nadzwyczajna — wietrzą one zdaleka nieprzyjaciela, kiedy go dobrze ukrytego nie dojrzy jeszcze wzrok ludzki, ani lornetka polna. Niby na łowach zatrzymują się nagle te sprytne zwierzęta i wyciągnąwszy szyję zdają się wytężać wszystek wzrok, jakby pojmowały, ile od ich czujności i wywiadu zależy.

Wszystkie te szczegóły świadczą o wielkiej przedsiębiorczości i fantazyi wojennej Japończyków. Fantazya jednak, to miecz obosieczny.

Dlatego też zwraca się nieraz i przeciw samym Japończykom. Najmniejsze niepowodzenie wnet ich wytrąca z równowagi. Każda strata przybiera zaraz wielkie rozmiary. W Tokio wnet się



Z wojny ros.-jap.: Przekrój wilczego dołu.

rozszerza przygnębienie, a nawet niepokój o los całej wojny. A przecież to rzecz tak daleka, tak nieuchwytna i tak niezależna od jednej dobrze wycelowanej armaty. To też nastrój stolicy wnet się zmienia, odwaga przygnębiona podnosi się, a hart na nowo się jeży, wnet się pięści zaciskają jeszcze gwałtowniej, a usta przysięgają, przysięgą cichą, lecz twardą, że odtąd twierdzę czekają trzykroć mocniejsze ataki. Tę wiarę mocną w powodzenie wnet też uwieńczy wieść dobra: Oto pagórek 203 metrów wzięty. A ten pagórek, to pracę oblężniczą posuwa o 90 procentów naprzód. Odtąd ponoś Japończycy panują nad całą przystanią.

***Nad Szaho.*** Straszną bitwę nad Szaho poprzedziła bardzo dla Rosyan nieszczęśliwa klęska. Była to utrapiona noc na 30 października. Działa drugiej dywizyi dziewiątej brygady artyleryi pułkownika Smoleńskiego; milczały. Ludzie w oszańcowaniach śpią. Komendant dywizyi, nieruchomy i groźny, pogląda bystro w dal. A dzielny to kanonier, spisał się doskonale pod Liaojangiem.

Teraz siedzi na szańcu i żuje czarne przeczucia. O czem myśli ten dzielny komendant? Może widzi śmierć swoją i zgubę całej dywizyi? Dokoła niego stoją oficerowie, czekając na rozkazy.

O wpół do czwartej rano zbudzono pułkownika Smoleńskiego: właśnie podjazdy doniosły, że Japończycy w ogromnej sile zdążają do wsi Chutuai. Pułkownik wydał potrzebne rozkazy, aby bateryе, najbliższe wsi, ostrzeliwały przystęp do niej. Potem spoglądał dalej w mgłę poranną.

Cisza dokoła, tylko od czasu do czasu słychać pojedyncze strzały.

Nagle o czterysta kroków spostrzegł pułkownik długi łańcuch żołnierzy. Lecz wnet go uspokoiły ich rosyjskie szynele i baranie czapki. Zresztą strzelali w stronę Japończyków, a zdążali widocznie na skrzydła bateryi.



Z wojny ros.-jap.: Japończycy wyciągają rannych swoich, którzy podczas szturmu powpadali do wilczych dołów.

Więc też odezwały się głosy:
— Nie strzelać, to nasi!

Pułkownik wydarł z notesu kartkę i do komendanta brygady napisał raport:

— „Nasza piechota cofa się poza baterye, będę musiał opuścić moje stanowisko“.

Zaledwie zdążył ordynans oddalić się z raportem — aż tu z trzech stron otwarto morderczy ogień. Jak jeden mąż stanęła baterya przy działach. Ale za późno.

Pułkownik, dwiema trafiony kulami, już padł bez życia. Wszczyna się walka rozpaczliwa, dwudziestu przeciw jednemu, i w kilka minut cała dywizya zniszczona — wydarli się śmierci jeno ci ludzie, co z jaszczykami odjechali.

Krwawe promienie słońca padły na osierocone, zwłokami ludzkiemi pokryte armaty. Już to po drugi raz udał się Japończykom ich napad podstępny w mundurach rosyjskich...

Czyż to nie tryumf wojennego kłamstwa. Nie tryumf rasy, która sztukę maskowania swych uczuć doprowadziła do doskonałości?

Do strasznej bitwy nad Szaho, klęska ta była tylko wstępem. Jak rozhukany buhaj, co ze spuszczonymi rogami i z krwią podbiegłemi ślepiami rzuca się naprzód, tak się rzucił jenerał Oku na korpus dziesiąty, nie szczędząc życia ni krwi...

Obecnie grozę wojny powiększył jeszcze mróz. Więc marzną w polu posterunki, a żołnierzom nawet się strzelać nie chce. Zdarzają się wypadki, że posterunki rosyjskie i japońskie stoją naprzeciw siebie na odległość rzutu kamienia — patrzą na siebie i nie strzelają.

Zdarzają się też i mocno zabawne figle. Oto pewnemu Japończykowi, który usnął na posterunku, ukradł rosyjski żołnierz karabin. Niema co mówić, pokazał Moskal, co umiał.

W niektórych miejscach nawołują się nawzajem obustronne straże i rozmawiają ze sobą. Japończycy, z których wielu umie po rosyjsku, mieszają się często do rozmowy Rosyan. W ten sposób zacieśniają się węzły przyjaźni między żołnierzami obu armij, które, na dany znak, miotają na siebie gradem kul. A grad ten większe wyrządza tam szkody, niżli na łanach pszenicy, a sypie się wśród takiego świstu, że go ucho tylko z przerażeniem znosi. Oto i bitwa.

Nad całą szeroką doliną rozbrzmiewają jęki i krzyki rannych. Tysiące małych, białych chmurek przelatuje w różnych kierunkach, tysiące kul syczą, gwizdają i roznoszą śmierć na wszystkie strony. Wśród kłębów dymu, unoszącego się nad armatami, błyskają złowieszcze języki ogniste, rozlega się okropny huk i coś spada na ziemię, jak huragan, wiercąc głębokie dziury. Granaty padają na ziemię, wrywają się w jej wnętrze, pękają pod ziemią i niby wulkany, rozrzucają całe masy ziemi, pomieszanej ze strasznym, duszącym i trującym dymem. A jęki i krzyki rozlegają się coraz głośniej i głośniej.

Zdaje się, iż nic już nie może być straszniejszego: gdy w tem rozlega się nowy piekielny wrzask i huk, nowe wycie szrapneli, nowy, grzmot pękających granatów, jęk kul karabinowych i stuk odłamków żelaza. Dokoła słychać ciągłe tsss, tss, ts...' Syku tego niepodobna opisać. Kto się do niego nie przyzwyczaił, pada mimowoli na ziemię, przyciska się do niej, chciałby się schować gdzieś do jakiejś dziury, byle tylko nie słyszeć tego okropnego syku, nad sobą i koło siebie.

Są chwile, że pociski sypią się na pole bitwy, jak deszcz. A wówczas śmierć zbiera swe straszne żniwo.

Dzieje się to wszystko wśród ryku kozaków, wycia Chińczyków, rżenia koni i przeraźliwego wrzasku osłów, których całe stada rozbiegają się wśród popłochu na wszystkie strony. Oficerowie często bez czapek, jak to widzimy na rycinie, z podniesionemi w górę ramiony, wydają rozkazy podniesionym głosem, który ginie wśród ogólnej piekielnej wrzawy bojowej. Nagle rozlega się gdzieś głośny i piękny śpiew, hymn bojowy, przerywany odgłosami trąbek, a wszystko razem i śpiewy i trąbki i huk armat i trzask karabinów i gwizd i szum pocisków i straszny krzyk rannych — zlewa się w jakiś piekielny akord, który, hucząc nad nieprzejrzaną przestrzenią, przygłusza i przytłacza człowieka.

A oto tam na wzgórzach wykryto czarne punkciki. W tej chwili obliczono oddalenie i posypano szrapnelami w stronę czarnych punkcików. Japończycy uciekają, nie mogąc zoryentować się, skąd sypie się na nich grad pocisków. Nasza artylerya ostrzeliwa wzgórza tak gwałtownie, że chwilami zdaje się, jakby ofiarowywano tam olbrzymie hekatomby na cześć nieznanego bóstwa, zapełniając powietrze chmurami dymu i kurzu. Widz traci niemal przytomność. Rozum powiada, że widok tej rzezi jest straszny i okropny, a przecież równocześnie czuje się w sercu jakieś pragnienie, jakąś gorącą żądzę, aby wrogów padło jak najwięcej. W takich dopiero chwilach rozumie się najlepiej, że serce i rozum nic ze sobą nie mają wspólnego, że są sobie zupełnie obce, mimo, że mieszczą się razem zamknięte w jednem ludzkiem ciele...



Z wojny ros.-jap.: Ambulans rosyjski na stacyi.

Lecz wszystko ma swój koniec, więc go też ma i bitwa. Kto żyw, gromadzi się na odgłos trąbki; rannych zbierają z pobojowiska i wysyłają pociągami do szpitali.

Rycina przedstawia taki pociąg z rannymi. Zatrzymał się na stacyi. Wnet się gromadzą ciekawi, szukają znajomych i przyjaciół. Ranni, o ile mogą, wychylają się z okien, lub pokazują na pomostach. A taka rycina więcej, niż wszelkie szumne opisy, dać może pojęcie o tem „podniosłem usposobieniu“, jakie ma panować w armii rosyjskiej.

Na wszystkich twarzach przygnębienie, na wielu przerażenie — nigdzie zapału, ochoty bojowej, ani uroczystego skupienia. Tak też wygląda nastrój prawie całej rosyjskiej armii.

***Flota rosyjska.*** Ale i floty rosyjskiej świat na seryo nie bierze. Zowią ją już niektórzy operetkową. Odgrywa też od początku wojny rolę arcykomiczną.

Ileż to pochlebnych rzeczy pisały o niej pisma rosyjskie, niby dla osłody tych nieszczęść, jakie nawiedzały drugą flotę na dalekim wschodzie.

A te nieszczęścia sypały się jak z rogu obfitości.



Z wojny ros.-jap.: Kolumny rosyjskie w odwrocie z pod Czinkanczen.

Padły u progu kampanii: „Retwizan“ i „Carewicz“, padł dalej „Petropawłosk“ z admirałem Makarowem, poszły na dno inne pancerniki i krążowce eskadry portarturskiej i władywostockiej („Warjag“, „Gromobój“, „Bogatyr“, „Askold“, „Diana“ i t. d.), a na to wszystko znachodziła się zawsze jedna odpowiedź: „niechno tylko ta flota bałtycka raz ruszy na wody“...

Tymczasem cóż na to fachowcy? Rozejrzeli się oni w tej sławnej flocie bałtyckiej i orzekli, że to starzyzna, która się łatwo może rozlecieć po drodze, że to staruszka, tęskniąca do grobu, a że nowe typy, dopiero co zbudowane, że taki „Orzeł“, zamiast bujać nad falami, raczej ma ochotę gdzieś się ku dnu morskiemu pochylić.

Przekleństwo jakieś ciążyło od początku nad tym morskim orłem, tak jak wogóle ciąży obecnie przekleństwo i nad jego władyką, czarnym orłem północy.

Ostatecznie jednak, po wielkich wysiłkach, puszczono tę operetkową flotę z kronsztadzkiej klatki. I cóż się stało? Zaraz na wstępie skompromitowała się „bohaterka“ pod Hull strzelaniną do łodzi rybackich. Co będzie dalej, zobaczymy. „Szturknąwszy bokiem o Hull, poraniła własnego popa na „Aurorze“, nabawiła się procesu i rozlazła się, jak stado karakonów po całem morzu od Kronsztadu począwszy aż po port Said“. Część jej szuka torpedowców japońskich, część wprasza się do portu Vigo, by naprawić maszyny, część inna błąka się po morzu usiłując połączyć się z resztą. Manewrują też koło Bosforu, próbują, namyślają się, pukają w palce i pytają wróżek.

A strach ma wielkie oczy. Ten Japoniec, co to tam na oceanie Indyjskim robi pułapki, odbiera Rosyi sen. A do Władywostoku, dokąd flota musi jechać przynajmniej 50 dni, tak jeszcze daleko...

Jej Bohu, będzie źle...

Operetka może się łacno zamienić w tragedyę.

***W szpitalach.*** O szpitalu warsz.-łódzkim św. Wincentego odzywają się żołnierze z wielkiemi pochwałami. Wszyscy wspominają z rozrzewnieniem o siostrach miłosierdzia, lekarzach a oraz o całej służbie zdrowia w szpitalu, który umieszczono w dużym domu, gdzie dawniej była sala teatralna.

Sala ta zalana światłem, w oknach kwiaty, dużo powietrza, wentylacya wyborna. Żołnierze mają wygodne łóżka warszawskie, czystą bieliznę, spokój — słowem, rzeczy prawie domowe, niedościgłe. Chorych ani na chwilę nie opuszcza siostra Zarębina. Są tu nawet gazety, oczywiście rosyjskie. Na obiad: zupa, mięso, kotlety, jarzyna, chleb



**Z wojny ros.-jap.**: Ogólny widok Bosforu.

biały, herbata. Lekarze przepracowani, jednak nie ustają w pracy.

Sprawozdawcy rosyjscy dodają, że większej opieki, więcej serdecznego obejścia z żołnierzem, przez ośm miesięcy wojny umęczonym, spotkać trudno.

Jeden z szeregowców, należący do strzelców syberyjskich, niejaki Józef Paciułka, warszawianin, oddał na pobojowisku towarzyszowi swemu Szczepanowi Tomaszukowi, chusteczkę, w której były zawiązane rozmaite drobne przedmioty. Tomaszuk ów legat schował, lecz nie miał czasu zbadać zawartości. Sam tegoż dnia otrzymał ciężki postrzał i został umieszczony w pobliskim szpitalu polowym. Po przebyciu ciężkiej choroby gorączkowej, już przychodząc do zdrowia, T. przypomniał sobie o węzełku Paciułki, który w szpitalu przechowano wraz z jego własnemi rzeczami. W węzełku, pomiędzy drobiazgami, znalazł rubla srebrnego, zawiniętego w papier, na którym, wypisane ołówkiem, mieściły się słowa: „W razie mojej śmierci, proszę o odesłanie rubla do parafii św. Krzyża w Warszawie dla odprawienia Mszy św. za moją duszę“. Tomaszuk teraz przesłał list z owym rublem do swego ojca, mieszkańca Starej Wsi pod Siedlcami, z prośbą o spełnienie ostatniej woli zmarłego.

Nie ze wszystkich jednak szpitali dochodzą głosy zadowolenia i pochwały. Oto n. p. ze szpitala ruchomego pod Mukdenem dochodzą gorzkie skargi. Oto co pisze lekarz:

„Już drugi tydzień siedzimy bezczynnie. Życie w szpitalu ruchomym tem się różni od życia w zapasowym, że w pierwszym robota jest peryodyczna, w ostatnim zaś jest stała, większa, lub mniejsza. W Erldagou przez dwa dni mieliśmy taką pracę, że nawet nie było czasu zjeść obiadu i na głodno trzeba było robić opatrunki do godziny 9. wieczorem. Dwa dni takiej pracy fizycznej, a co więcej, moralnej wobec strasznych cierpień żołnierzy, strasznie denerwuje i wyczerpuje. „Polacy złożyli na krwawym stosie wojny mnogo ofiar, co prawda przymusowych. Wszakże to tak słodko pędzić na rzeź tych, których się dręczyło już długie lata. W szpitalu pod Mukdenem, naszych też nie brak. W ogóle Polaków oficerów jest tam wielu. Rany przeważnie ciężkie, bo główną rolę odegrała artylerya. Miejsc wolnych zaledwie 200, a rannych 2.000! Trzeba było kłaść ich na dworze, a na to lunął obfity deszcz i wszystko leżało w błocie, jęcząc w niebogłosy. Przejść było niepodobna — każdy wyciągał ręce — błagając o pomoc, a przyjść z nią nie było żadnej możności. Widok straszny!



**Z wojny ros.-jap.**: Walka nad rzeką Sza.

# LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

**Grzegorza Smolskiego.**

2 (Ciąg dalszy).

Simche Goldstückel pozostał stałym w postanowieniu, odpierając, że dr. Turteltaub, chociaż „udaje Polaka“ i dla interesu „nosi się po niemiecku“, jest w oczach jego tak dobrym żydem, jak dr. Floch z pejsami i w kaftanie. Goldstückel nie wiedział, że rabin w Stadlau nosił się również „po niemiecku“, inaczej zaraz z miejsca byłby mu stołek przystawił u kahału.

Jedno tylko niepokoiło go. Będąc z zawodu krawcem, posiadał skład gotowych ubiorów żydowskich, czapek, kapeluszy, jarmułek, talesów i t. d. Rozgniewany kahał na niego, mógł mu przez odstręczanie odbiorców wyrządzić szkodę w interesie. Radny gminny i członek zarządu kahalnego, Salomon Silberfisch, właśnie otworzył interes konkurencyjny. Cóż robić? Strata prawie pewna, jednak niknie wobec zarobku przy wyborach. Da on sobie jakoś i z nią radę. Niedługo przyjdą wybory do rady gminnej. Kahał będzie go potrzebował, więc wszystko się naprawi odrazu.

Mamy jeszcze dziewięciu kandydatów, stojących poza nawiasem — wielkiej szansy. Przedstawiają oni wszelkie możliwe i niemożliwe stronnictwa, kraj trapiące. W mieście dzielono ich na dwie kategorye: na kandydatów korzennego sklepu Korpacza czyli tak zwanych „kwartalników“ i na „radykałów-samopasów“. Do „kwartalników“ zaliczano pp.: Henryka barona Seydla, prezydenta „kwartalnicy“, byłego obywatela ziemskiego i byłego porucznika przy dragonach, obecnie rezydenta brukowego bez zajęcia, zawodu i barwy politycznej, „stojącego“, jak sam się określał, ponad stronnictwami; Spirydyona Hawryłowicza Czernohusa, właściciela realności miejskiej, starorusina; Jana Dąbczaka, adjunkta sądowego, polskiego ludowca; Salezego Oleśnickiego, radcę sądowego w stanie spoczynku, stronnika „polskiej katolickiej demokracyi“ i Gniewomira Znicza, byłego profesora gimnazyalnego, wyznawcę wzajemności katolicko-słowiańskiej. Kandydaci ci, mimo ogromnej różnicy przekonań i programów, byli stałymi gośćmi „śniadaniowego pokoju“ w sklepie pana Kajetana Korpacza, skupiając się licznie, a zgodnie przy „lampce“ węgrzyna, gdzie wśród żywych rozpraw, obejmujących wszystkie dziedziny świata, śniadania przeciągały się nieraz do nocy, a wieczornice do białego dnia. Przy kieliszku i „przekąsce“ płynął czas chyżo i wesoło. Dopiero gdy rozprawa przechodziła na sprawy publiczne, krajowe, na dziedziny polityki, ujawniały się sprzeczności przekonań wielorako, swada rosła, umysły zagrzewały się, przychodziło do starć i zwady i Bóg wie do czegoby nieraz nie przyszło, gdyby genialny pomysł br. Seydla nie był stworzył skarbonki, zostającej pod energicznym zarządem właściciela sklepu korzennego, do której każdy za użycie dosadniejszego wyrazu, mogącego obrazić kogokolwiek z towarzystwa, obowiązany był za karę wrzucić koronę, a czyn ten oznaczał zarazem przeproszenie obrażonego. Przeciwko orzeczeniu prezydenta br. Seydla nie było apelacyi. Skazany na grzywnę musiał, jak mówił skarbnik Korpacz, „w siej czas sięgnąć do kabzy“. To postanowienie zapewniało towarzystwu dobrą komitywę, gdyż wyraz nawet najobelżywszy, natychmiast „ekspiowany“, nie był w stanie zakłócić, lub nadwerężyć harmonii. Co ćwierćrocze otwierano skarbonkę uroczyście i obliczano jej zawartość, która następnie szła na wspólną wielką pijatykę, zwaną „kwartalnicą“, która stałym gościom „pokoju śniadaniowego“ nadała miano „kwartalników“. W skarbonce bywało po sto i więcej jeszcze koron, z czego wynika, że z silnym tenorem zapału broniono swoich przekonań u Korpacza.

„Kwartalnica“ powiła też powyższych pięciu kandydatów.

Nie dziw. Wszak tworzyła akademię dla krasomowstwa. Na zebraniach nie obeszło się nigdy bez mówek o tem, lub o owem. Mówiono o wszystkiem, co się działo na świecie, w mieście, w kraju, a nawet po domach. Bywały rozprawy polityczne, narodowe, społeczne, gospodarcze i wszechnaukowe. Każda dziedzina posiadała swojego zawodowca, specyalistę.

Pan aptekarz Szypałka, choć był poetą zawołanym, poruszał sprawy astronomiczne i zwykle wywiązywała się bardzo ciekawa dysputa pomiędzy nim a panem kontrolerem pocztowym, „bitym“ w tej dyscyplinie. Radca skarbowy Korba rozwijał znowu poglądy historyozoficzne, z któremi nie zawsze zgadzał się adwokat dr. Zipfel. Specyalistą ekonomicznym był pan Jan Telembasowicz, właściciel pobliskich Kedaniec i „szybów“ naftowych, chociaż rzucał pieniądzmi pełną garścią na wsze strony, zwany pieszczotliwie „Jasiem“. Pan notaryusz znał się wyśmienicie na sztukach pięknych, rewident Przekrusa, również poeta, na piśmiennictwie, inni znali się znowu na czem innem, lecz wielu było takich, którzy, znając się na wszystkiem, o wszystkiem rozprawiali z równą znajomością rzeczy.

Do rzędu ostatnich należeli poborca podatkowy Dusimiech, kandydat Dąbczak, urzędnik kolejowy Namentowski. Ostatni zawsze wiedział wszystko lepiej, niż ktokolwiek inny.

Prawie rzeczą rozumiejącą się samo przez się jest, że z towarzystwa, przedstawiającego taką sumę inteligencyi i wiedzy, wyłoniły się kandydatury poselskie.

Stało się to formalnie na wniosek br. Seydla, który niedawno temu odezwał się na wieczornicy tygodniowej w te pamiętne słowa:

— Szanowne i czcigodne zgromadzenie! Nie w krotochwilnej, lecz bardzo poważnej sprawie stosuję, przezacni panowie, te słowa do was... Hm... hm... Mości panowie! Wchodzimy w ważny okres wyborów... miasto winno dorość sytuacyi... hm... hm... Jam praktyk życia, który z niejednego pieca jadł chleb... uczyłem się wciąż żyjąc dopokąd hm... hm... starczyło środków. Potem, mili druhowie, osiadłem między wami, zrosłem się z naszem miastem, którego dobro wspólnym naszym ideałem. Mości panowie! Zbiorową siłą, nie chwaląc się bynajmniej, zdziałaliśmy ogromnie dużo... hm... hm... wznieśliśmy duchową twierdzę, kwartalnicę; latarnię morską dla okrętów pływających po wzburzonych falach morza krajowego... Wybory, mości panowie, przed progiem kwartalnicy. Miałażby ona pozostać gnuśną?

Głosy: nie — nie!

— Otóż zaiste, mości panowie, nie wolno jej chować światła pod korzec. Coby to był za patryotyzm! Hm... hm... Stojąc ponad stronnictwami, chodzi mi przedewszystkiem o sprawiedliwość, każde zdanie, każde przekonanie, każdy program bez różnicy dobry i powinien znaleść przy wyborach wyraz. Mości panowie! Kwartalnica jest gniazdem różnych programów. Tulą się one około niej jako około matki ptaszyny. Mości panowie! Niech pisklęta dla dobra kraju wylecą z gniazdka, niech kandydują. Przezacni współobywatele! Nam nie chodzi o głosy, tylko o zamanifestowanie swoich przekonań, swoich programów. Powiem krótko: zgłaszajcie swe kandydatury czyja łaska i wola.

Burza oklasków długo nie mogła się uciszyć. Odrazu wyłoniło się aż pięć kandydatur kwartalnickich. Pp. Czernokus, Oleśnicki, Znicz i Dębczak zgłosili się sami na ochotnika, zaś br. Seydla obwołało zgromadzenie jednogłośnie, co go niemało rozczuliło i spowodowało do „fundy“ kilku litrów „erlauera“. Wśród ogólnego zapału, wychyliwszy duszkiem duży „cześciwy“ puhar za zdrowie kwartalników, dziękował „druhom“ najserdeczniej:

— Jakem żołnierz, jakem szlachcic polski, wasz jestem duszą i ciałem. Zawstydzacie mnie jednomyślnością zaufania. Mości panowie!... hm... hm... Poeta, nazwisko jego wypadło mi z pamięci — mniejsza o to — otóż poeta powiedział, że tylko drab jest skromny. Otóż w rodzinie Seydlów drabów nie było i Bóg da, nie będzie. Przyjmuję ofiarowaną mi kandydaturę nie dla swej osoby, lecz dla swoich zasad i przekonań, dla swego programu politycznego: stania ponad stronnictwami. Dzięki, mili druhowie! Kończę tem, że nam nie chodzi bynajmniej o głosy, lecz o zasady, o równouprawnienie wszelkich przekonań. Dzięki, dzięki!...

Pan aptekarz replikował na to wiązaną mową, stwierdzając, iż kwartalnica postawiła kandydatów tylko *„pour le drapeau de l'honneur“*, jak się wyraził.

Liczbę dwunastu dopełniali czterej kandydaci skrajni, mianowicie: wszechpolak Wilibald Nadymalski, suplent gimnazyalny; Bohdan Koszowy, „ukrainiec“, redaktor „Gonty“; socyalista Izydor Krikalis, urzędnik kasy chorych i syonista dr. Makabeusz Tałkes, koncypient adwokacki.

Mówiąc słowy pana aptekarza, byli i to kandydaci *„pour le drapeau de l'honneur“*, gdyż żaden z nich nie posiadał szans wyboru.

II.

Pankracy Niesamowity, redaktor „Kukułki Pokuckiej“, główny kierownik agitacyi za hr. Młodzieńskim, podskoczył z radości do góry, dowiedziawszy się, że niebezpieczny Simche Goldstückel odpadł od kahału, a przeszedł na stronę br. Turteltauba. Wpływało to znacznie na korzyść hrabiego, gdyż można było liczyć na pewne, że Goldstückel pozyska dla dr. Turteltauba, który zresztą posiadał nadzwyczaj małe szanse, pewną liczbę głosów żydowskich, które inaczej przypadłyby rabinowi z Stadlau.

Zaniepokoiły go z drugiej strony wieści, otrzymane ze Lwowa, że centralny komitet krajowy wyborczy skłania się do zatwierdzenia kandydatury rabina dr. Flocha, jako postawionej ze strony miejskiego komitetu wyborczego. Wprawdzie hr. Młodzieński, który właściwie był kandydatem zachowczo-szlacheckim i którego łączyły pokrewieństwo i przyjaźń z kilkoma członkami komitetu centralnego, mógł na pewno liczyć także na poparcie z tej strony, mimo to urzędowa równorzędność obydwóch kandydatur mogła w pewnym kierunku szkodzić hrabiemu.

Niesamowity wystąpił w „Kukułce“, chcąc wywrzeć wpływ na komitet centralny, z artykułem siarczystym przeciwko „cudzoziemcowi zuchwałemu, który, nie znając wcale ani języka krajowego, ani kraju, ubiega się z niebywałą bezczelnością o mandat poselski u nas“. Takiego kandydata komitet centralny zatwierdzić nie może pod żadnym warunkiem. Kandydat komitetu centralnego obowiązany jest wstąpić do Koła polskiego. Rabin dr. Floch zapowiada to. W jakim języku będzie przemawiał w Kole? Jużci po niemiecku, gdyż nie umie słowa po polsku. Skandal nad skandale... germanizacya Koła polskiego...

Końcowy ustęp tego „Protestu wyborców chrześcijańskich“ brzmiał:

„Już teraz tłumy wyborców chrześcijańskich, których bożyszczem jest August hr. Młodzieński, zaniepokojone, wzburzone do najwyższego. Zatwierdzenie kandydatury obcego przybłędy z nad brzegów Dunaju ze strony komitetu centralnego oznaczałoby nieszczęście — katastrofę. Chrześcijański wyborcy przygotowują się do samoobrony. Wysłali bowiem do dr. Luegera, prezydenta miasta Wiednia i przywódcy stronnictwa antysemickiego, telegraficzne zaproszenie, żeby raczył przybyć do Kołomyi i ratował chrześcijan przed inwazyą obcokrajowego rabina. Dr. Lueger przyrzekł przybyć. Będą się mieli żydzi i ci, co ich popierają, spyszna“.

Artykuł „Kukułki“ sprawił ogólnie wielkie wrażenie. Kołomyję zelektryzował doniesieniem o przybyciu dr. Luegera, zaś na zewnątrz, przedrukowany przez lwowskie i krakowskie dzienniki, które także zwróciły się przeciw „obcemu intruzowi“, wywarł także wpływ niemały tak, że komitet centralny, wbrew regule, uchwalił nie zatwierdzić kandydata komitetu kołomyjskiego miejskiego ze względu, iż jest cudzoziemcem, nieznającym ani kraju, ani języków krajowych, pozostawiając natomiast wyborcom miast Kołomyja-Śniatyn-Buczacz dowolność wyboru pomiędzy hr. Młodzieńskim, a dr. Turteltaubem, jako „kandydatami krajowymi“.

Wieść o Luegerze przeraziła nie tylko żydów kołomyjskich, lecz także wiedeńską prasę liberalną, do której dostała się z dzienników polskich, W *„...blattach“* i *„...zeitungach“* posypały się nawet artykuły wstępne o szerzeniu się antysemityzmu jak morowej zarazy, sięgającego najwschodniejszych kończyn monarchii. Rozumie się, iż rabin w Stadlau, czytając to, zaniepokoił się straśnie, postanawiając bezzwłocznie przedsięwziąć podróż do Kołomyi. Zaopatrzywszy się w zupełny strój żydowski, by po drodze przebrać się i jako chasyd stanąć przed wyborcami „pobożnymi“, spakował go do osobnego kuferka i wyjechał, zawiadamiając Jojnę telegraficznie, że w piątek zrana przybędzie do Kołomyi.

Niesamowity dumny był ze skutku, jaki artykuł jego wywarł. Otrzymawszy od burmistrza Aspana wiadomość o uchwale komitetu centralnego, wsiadł w rynku na dryndę żydowską, udając się z dobrą nowiną do Oleksiniec, odległych pół mili drogi. Było mu spieszno z innej jeszcze przyczyny. Żydzi, widząc w nim niebezpiecznego wroga, zaczęli go prześladować wekslami, których po zapłaceniu Gitli Knofelduftowej było w obiegu jeszcze kilka, opiewających razem na sumę mniej więcej tysiąc koron. Jojne skupił je wszystkie. Ponieważ były już płatne, zaskarżył je. Tym sposobem zawisł nad głową redaktora miecz grabieży sądowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kazimierz Kamiński.

# Migawki teatralne.

Na horyzoncie artystycznym pojawiają się od czasu do czasu fenomena, których ukazanie się stanowi epokę nietylko w teatralnych kronikach, lecz i w całokształcie kultury narodowej. Z jakiegokolwiek punktu będziemy patrzyli na „sztukę aktorską“, jedno się nie da zaprzeczyć: żywe słowa wystudyowone i mistrzowsko oddane ma swoją potęgę, ma swoją moc suggestywną. I historya polskiego teatru wykazuje wielu wirtuozów słowa, mimiki i giestu. Dość wspomnieć Rapackiego, Żelazowskiego, Leszczyńskiego i wielu innych. Praktyka wykazuje jednak, że nie zawsze aktor, władający poprawnie a nawet klasycznie głosem — potrafi równocześnie być i mistrzem swych ruchów, wyrazu twarzy i ogółem tego wszystkiego, czego od artysty-aktora wymagamy. Mamy najlepsze dowody nawet w krakowskim teatrze, że względnie poprawni deklamatorzy, posiadający nawet niezłe warunki zewnętrzne (prezencyę) — nie doprowadzają do niczego — tem mniej, jeżeli ich ambicya artystyczna, idzie w kierunku rozbieżnym z tem, czego się od sztuki wymaga. Mówimy tu o Kotarbińskim.

Antytezą artystyczną jest Kamiński. Zdumiewa jedno u niego: ta równomierność we wszystkich środkach, jakimi rozporządza znakomity ten artysta. I głos jego i umiejętność charakteryzowania się, wysubtelniony umysł i inteligencya, wysoko stojąca ponad poziomem przeciętnych aktorów. Niezwykłe jego kreacye: Mefisto, Korniłow, Markiz Priola, Stańczyk w „Weselu“ Wyspiańskiego, dają miarę niepowszednich uzdolnień Kamińskiego — bezsprzecznie pierwszego dzisiaj aktora w Polsce.

Nomen — omem: zasłużone jest imię Kamińskich w teatrze, że wspomnimy tylko Jana Nepomucena Kamińskiego, N. Kamińskiego dyrektora orkiestry żyjącego w drugiej połowie zeszłego wieku. Godnym spadkobiercą duchowym tradycyonalnej firmy — jest Kazimierz Kamiński.

Uwielbiany przez publiczność, święci wprost niebywałe tryumfy na scenie, a ostatnia kampania artystyczna w warszawskim teatrze stwierdziła niezbicie, że na dobrych — aktorach-artystach każda impreza, prócz moralnych sukcesów, odnosi i sukces — kasowy,..

* * *

Jest gwiazdą operetki lwowskiej.

Operetka — tylu się na nią gniewa. Czy jednak słusznie, może zresztą słusznie wtedy, gdy libreto obraża uszy częstochowskim rymem, logikę, choćby tę mało wymagającą przesadnymi skokami i nieprawdopodobną wiązanką wypadków, a kiedy sama muzyka ani nowa, ani dobra, ani ciekawa.

Na taką operetkę gniewać się wolno każdemu. I każdy się pod tem podpisze.

Lecz gdy powiastka sama zrobiona jak cacko, językiem lekkim, czystym, jeśli ze scen bije zabawność płocha i żartobliwość ucieszna, jeśli to wszystko ozłaca i opromienia muzyczka nadobna i lekka, co to troski spędza z czoła, serce przywalone tęsknicą pociesza i rozwesela — to cóż ktoś może powiedzieć na taką operetkę?

Nic go w niej nie urazi, a wszystko go rozerwie; nic mu łez nie wyciśnie, a wszystko jego usta rozchyli do uśmiechu. Rozbawiony opuści teatr i uniesie we wdzięcznej pamięci tych, co mu pomogli spędzić tak miły wieczór.

A otóż i nasza gwiazda.

Kiedy się ukaże na scenie, każdy czuje, że to sam wdzięk spływa ku niemu; powabem tchnie każdy ruch artystki; jej postać owiewa zawsze prawdziwa poezya. Bo prawdziwa kobiecość zawsze tylko poezyę wypromienia. A cóż dopiero mówić o ślicznym głosie artystki. Czy to tryl, czy pasaż nie wiedzieć jak trudny, wszystko wychodzi czyściutko, świeżo — zda się, że słowiki zebrały się w gaiku i rozhowor prowadzą pieściwy, o wdzięcznem królestwie pieśni.

P. Łopatyńska wystąpiła po raz pierwszy na scenie ruskiej za dyrekcyi Biberowicza. Zdobyła sobie odrazu uznanie jako Oksana w „Nocy Bożego Narodzenia“ Łysenki. Od tej pory była ozdobą teatru ruskiego. Kiedy dyrekcyę teatru objął młody dziennikarz ruski Łopatyński, zakochał się w młodziutkiej śpiewaczce i ożenił z nią niebawem. Po kilku latach mąż jej zrzekł się kierownictwa teatru. Wtedy rzuciła Łopatyńska ruski teatr i przybyła z mężem do Lwowa, gdzie ją dyrektor Pawlikowski wkrótce zaangażował do swego teatru.

Od tego czasu t. j. od pięciu lat pracuje Łopatyńska na scenie lwowskiej w operze i operetce: śpiewa Halkę, Carmen, Małgorzatę — a równocześnie uczy się u prof. Wysockiego i Barycza...

Jej repertuar stanowi trzydzieści kilka oper, oraz cały szereg operetek, w których śpiewa dla braku innych śpiewaczek.

Proponowano jej angagement na scenę rosyjską w Petersburgu — odmówiła. Do Warszawy również jechać nie chciała, mimo doskonałych warunków pieniężnych i ofiarowywanego jej pierwszorzędnego stanowiska scenicznego. Odmówiła, bo kocha Lwów i lwowian — a wdzięczna stolica umie to jej przywiązanie ocenić, nie szczędzi oklasków i zasypuje kwiatami.



Filomena Łopatyńska.

# Z życia dnia

Święty Mikołaj roznosząc swe dary
Odwiedził także i nasz Kraków stary
Dopełnił święty swej hojności miarki,
Bo oto, jakie przyniósł nam podarki:
Naprzód kompletne w mieście bezhołowie,
Bo prezydenta jest nam brak w Krakowie.
Gdy biedny Leo śmiercią ma już poledz
Inni wyłażą na radziecki stolec.
Chociaż im przecie brak kwalifikacyi,
Więc źle się dzieje w Krakowie z tej racyi!
I inne dary dał Mikołaj święty:
Ten bruk, na którym rozbija się pięty,
To błoto, którem opływa nasz Kraków,
Ciemne ulice bez latarń i znaków,
I różne inne piękne dziwowiska,
Którym się warto raz przypatrzyć z bliska,
Bo są ciekawe po nocy czy we dniu.
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
Rzecz aktualna rozgrywa się w Wiedniu,
Staje przed sądem niejaka Cecylia,
Z którą mąż zerwał, wyklęła familia,
Co zmarnowała czas młodości złoty
Robiąc szantaże, głupstwa i karoty
I żyjąc sobie jak ten ptak niebieski,
Bo złotem sypał pan hrabia Milewski,
Lecz przy tem wszystkiem zrobił błąd fatalny
Że nie chciał uznać „córki naturalnej“.
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
Smutna to sława, smutniejsze jest ale,
Że się opinia nie krępuje wcale
I rzecz nazywa słusznie choć obrzydle:
Że zawsze parę znajdzie każde bydlę!
Lwowskie nowinki także dość ciekawe
Jeśli wglądniemy w magistracką sprawę.
Po Małachowskim na miejsce burmistrza
Przyszedł Michalski — rzecz najoczywistsza,
Że pan Ciuchciński w powołaniu świętem
Przy jego boku wiceprezydentem.

Teatr, co służy narodowej sztuce
Powinien jedno mieć ku swej nauce,
Że gdy dyrektor jest marnym aktorem,
To teatr taki kiepskim idzie torem.
Nawa teatru pozostanie nagle
Jak statek, gdy mu wiatr pozrywał żagle.
Pan Kotarbiński niech pamięta o tem,
Że na te nurty nie wpłynie z powrotem.

Z miast tych, gdzie kwitnie humor i zabawa
Słynie bezsprzecznie wesoła Warszawa,
Kilka teatrów, cyrk i teatrzyki
Są przepełnione tłumami publiki,
Która się bawi zawsze bardzo hucznie,
W ślady zaś mistrzów wstępują ich ucznie,
I głoszą jawnie bez żadnego musu
Swobodną miłość i kult spirytusu.
Ogółem jedno tam w pełnym rozkwicie:
Literatura i knajpiane życie,
Które zna dobrze każdy, kto Wa szawiak
A które często prowadzi — na Pawiak.

Kraków ma swoje złe i dobre strony
Tych gorszych można znaleśćby miliony
Kraków, Rzym polski, z całą swą kulturą
Jest — można stwierdzić — zakazaną dziurą,
Którą cechuje brak taktu, rozsądku
Niby prowincya gdzieś w zapadłym kątku.
Na Małym Rynku vis a vis kościoła
Jest kram, czy buda, co o pomstę woła
Ściany pstre, przytem na pół odrapane
Przypominają stylem — Zakopane.
W budzie tej ryby morskie się sprzedawa,
Buda ta chluba dla miasta i sława!
Żart na bok, jeśli potrzeba już gwałtem,
By kram podobny raził swoim kształtem
Niechże nie stoi przynajmniej w pobliżu
Starych budynków, przy kościelnym krzyżu,
A przy tem wszystkiem (i wspominać nie trza)
Że swym zapachem Rynek zapowietrza.
Takie to sprawy dzieją się w Krakowie
O którym jedno każdy tylko powie,
Że choć tu wielu żegna się i modli
To nie przeszkadza, że ludzie są podli.
Kraków, a zwłaszcza jego filantropię
Nie znajdzie równych w całej Europie.
Utarte zdanie — nie wytwór fantazyi,
Że ma zalety, jakby leżał — w Azyi!

*Krk.*

## Werner Alberti.

Niedawno bo przed tygodniem niespełna zwróciło jedno z codziennych pism warszawskich uwagę ogólną świata muzycznego na tę okoliczność, iż kiedy pierwsze kadry jedynej w sezonie obecnym opery polskiej w Warszawie (we Lwowie nie będzie tego roku, jak to doniosły pisma lwowskie, przedstawień operowych) zapełnione są śpiewakami i śpiewaczkami zagranicznymi, sprowadzonymi (n. b. za drogie pieniądze) z pod błękitnego nieba Italii lub z nad brzegów ocienionych kwiecistemi oleandrami Tagu i Quadalquiviru — to nasi artyści i to tej miary, jak Kruszelnicka, Korolewicz-Wajda, Didur, Leliwa, Łukaszewska, Lierhammer i wielu innych śpiewają i dają się podziwiać w Medyolanie, Rzymie, Monte-Carlo, Madrycie, Londynie itd. — Tych, którzy pozostać muszą w kraju i śpiewają dla swoich tych liczymy niewielu — a obdarzamy ich nie wieńcami laurowymi — lecz tylko listkami (czasem fałszowanymi) — lub „krytykujemy“ z całem zamiłowaniem ulubionego u nas „krytykowania“, uznając natomiast z namaszczeniem „firmy“ i dobre „marki“ zarekomendowane nam przez kogoś, co ma stosunki za granicą.

Wie o tem dobrze polska młodzież śpiewacza, bo jeśli pragnie pracować w kraju dla swoich, i cieszyć się ogólnem uznaniem, to musi oglądać się albo za zasiłkiem, albo za „mecenasem“, jechać za granicę, kształcić się tam, a następnie służyć obcym bogom — aby zdobywszy laury u obcych, wrócić następnie w domowe pielesze i nucić tylko swoim. — Śpiewaków takich mamy za granicą wielu i nieraz czytającemu w pismach włoskich, francuskich lub niemieckich nazwiska podziwianych i uznanych artystów, ani przez myśl nie przejdzie, że cudzoziemskie imię jest tylko pseudonimem, za którym ukrywa się polski śpiewak lub polski artysta. Temu i owemu minie na wędrówce latek sporo — nieraz tyle, że i rozluźnią się węzły łączące go z ojczyzną a ten i ów do kraju już nie wraca. Smutna dola.

Jednym z takich trubadurów, którzy szukając



wpierw uznania (no i.... złota) u obcych, jest artysta, którego podobiznę przynoszą dziś „Nowości Illustrowane“ — Werner Alberti.

Konia z rzędem temu, ktoby poza tem z niemiecka po włosku brzmiącem imionisku, poznał Polaka i w dodatku Poznańczyka. — Nazywa się naprawdę Wojciech Krzywonos.

Już jako małe chłopię zdradzał niezwykłą muzykalność. Wysłano go więc na naukę do Włoch gdzie kształcił się lat parę u medyolańskich maestrów a następnie u mistrza z Lugnano... Lamportiego. Alberti-Krzywonos debiutował w Medyolanie i pierwsze lata swojej karyery operowej przepędził we Włoszech, śpiewając naprzemian w teatrach *„dal verme“* i *„la scala“*, a następnie w Pizie, Rzymie, Padwie, Wenecyi itd.

Pierwszym etapem poza karyerą włoską, był Paryż, gdzie rodaka naszego nazwano „le roi du grand C“ (król wysokiego C). Paryż otworzył Albertiemu-Krzywonosowi podwoje Europy. Śpiewa on odtąd na wszystkich największych scenach, jak Drezno, Berlin, Wiedeń, Hamburg, Petersburg, Moskwa, Ryga itd. Na wesołej tej tułaczce trubadura, upłynęło mu lat kilkanaście, w ciągu których odwykł po części od używania w śpiewie mowy rodzinnej, śpiewając stale po włosku.

Przed naszą publicznością stanął Alberti przed dwoma laty — angażowany przez Hellera na parę gościnnych występów podczas *„stagione“* filharmonii lwowskiej w Krakowie. Odtworzył on kilka postaci z oper włoskiego repertuaru. Pięknym i niezmordowanym głosem i zadzierżystą postawą, zdobył sobie Alberti życzliwość publiczności krakowskiej — a w roku zeszłym pozyskał również wybredną na punkcie śpiewaków, a szczególnej tenorów i trudną do zdobycia publiczność lwowską.

Przyjęty życzliwie i owacyjnie na jednym z wieczorków patryotycznych, postanowił Alberti zwiedzić i resztę kraju. Parę swobodnych dni pozwoliło mu urządzić koncerta w filharmonii lwowskiej, w której śpiewał z wielkiem powodzeniem, następnie w Czerniowcach, a w końcu i w kilku większych miastach Galicyi.

Sympatycznemu śpiewakowi, który zbierał oklaski, tryumfy i dowody uznania u najmuzykalniejszych słuchaczy Europy i Ameryki — oby towarzyszyło uznanie i naszego społeczeństwa, które umie cenić i pieśni i pieśniarzy. *Z. Ursa.*

---

# TAJEMNICZA WILLA

**(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).**

Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ E.

10 (Ciąg dalszy.)

— Podsłuchałem wczoraj rozmowę pana profesora Follena z panienką. Panienka nie była taka blada. Przeciwnie małe rumieńce okrasiły jej twarzyczkę i nie była smutna, jak przed tem, owszem! Cała jej rozmowa była nacechowana wesołością i dobrym, takim młodzieńczym humorem. Wyraźnie słyszałem, jak mówiła do ojca: „Ach kochany tatku! Czuję, że zdrowie mi powraca! On już od tygodnia przestał mnie prześladować; od tygodnia żyję już w spokoju i jestem pewna, że więcej się już nie pojawi!

— Co ty mówisz, Tereso! — zawołał pan Follen — i z czegóż to wyciągasz tak wesoły wniosek?

— Ach! — uśmiechnęła się na to panna Teresa — dotychczas przychodził zawsze i wysysał mi krew tak chciwie, aż w ostatnich czasach zaczął się coraz rzadziej pokazywać i postać jego miała coraz mniej wyraźne kształty. Przed ośmiu dniami zjawił się znowu u mnie. Widziałam go całkiem wyraźnie i czułam, że już chce wpić swe zęby w me ramię, gdy w tem zjawiła się świetlista postać młodego mężczyzny, o stalowych muskułach i bujnej czarnej czuprynie. Gdy on rzucił się na mnie, świetlista ta postać pochwyciła go za bary i rozpoczęła się straszna walka, która jednak nie trwała długo, bo on rozpłynął się we mgle, a świetlista postać odniosła zupełne zwycięstwo! Jak sądzisz ojcze, czy nie zostałam już raz na zawsze uwolnioną od mego prześladowcy?...

— Ależ naturalnie Tereso — odparł z powagą ucieszony pan Follen — przekleństwo dzięki Bogu zostało zdjęte z ciebie i znów powrócisz do zdrowia!

— Do zdrowia? tak! ale jabym chciała ojcze zaznać i tego, co się nazywa szczęściem!

— I na to przyjdzie kolej, moja córko! Ale, czy sądzisz, że mógłbym cię był utrzymać przy życiu, gdyby się nie byli znaleźli ludzie, którzy cię żywili swą krwią własną?...

— Co ty mówisz ojcze! — zawołała przerażona panna Teresa — ja cię nie rozumiem, nie pojmuję, co ty właściwie mówisz?...

— No moje kochane dziecię — rzekł spokojnie i poważnie profesor Follen — teraz mogę ci to chyba wytłómaczyć!

I pan Follen powoli, bardzo oględnie opowiedział swej córce, jak to krwią innych ludzi zasilał jej wycieńczone żyły i, że obecnie przebywa w willi człowiek, który ostatniemi czasy przez szereg tygodni na ten cel swą własną krew bez przymusu ofiarował. Naturalnie pan Follen nie powiedział, do jakiej kategoryi ludzi pan należy, owszem, z całem uznaniem i wdzięcznością wyrażał się o panu, a gdy skończył swe opowiadanie, panna Teresa zaczęła go błagać, aby przedstawił jej pana, aby pozwolił jej samej podziękować za tę pańską ofiarność. Pan Follen zrazu nie chciał się przychylić do prośby panny Teresy, ale gdy zobaczył, że oczy jej łzami zachodzą, bez wahania zgodził się na jej żądanie. W ten więc sposób niebawem pozna pan pannę Teresę i przekona się pan sam, jakie to dobre, łagodne i urocze dziewczę!... Ach jak ja się cieszę z tego!...

I łzy radości ukazały się w poczciwych oczach olbrzyma.

Po tej rozmowie drżałem z niecierpliwości ujrzenia tej, którą moja krew uchroniła od niechybnej śmierci.

Nie czekałem długo, bo już zaraz nazajutrz doktor Follen przyszedł rano do mego pokoju i oświadczył bez żadnych ogródek:

— Moja córka chciałaby pana zobaczyć i poznać. Proszę niech pan pozwoli za mną!..,

Serce uderzyło mi gwałtownie, kiedy przestępowałem wraz z doktorem próg pokoju, w którym przemieszkiwała panna Teresa, ale wówczas jeszcze nie spodziewałem się, że za parę minut zabije ono jeszcze gwałtowniej.

Panna Teresa, ubrana w powłóczystą suknię z czarnego kaszmiru, spoczywała w pół leżąc, w pół siedząc na otomance. Na twarzy jej, okraszonej lekkim rumieńcem, znać było jeszcze ślady cierpień, jakie przechodziła przed niedawnym czasem, ale w oczach jej płonął już ogień budzącego się na nowo życia.

Stanąłem w progu i z podziwem patrzałem w tę piękną twarz madonny. Nie mogłem słowa wyrzec.

Zanim zaś profesor zdołał mnie przedstawić, stało się coś nadzwyczajnego, coś niepojętego!

Zaledwie mnie panna Teresa dostrzegła, jak koń dotknięty nagle ostrogą jeźdźca, zerwała się z otomanki i zarzuciwszy obie białe jak marmur rączęta na szyję ojca zawołała dźwięcznym głosem:

— O mój ojcze! mój drogi ojcze! To on! to on! On jest tą świetlistą postacią, którą widziałam we śnie! To on zwalczył mojego strasznego prześladowcę, który gwałtem chciał mnie wciągnąć do grobu! O! jakże dziękuję Bogu, że mojego wybawcę nie tylko w snach, ale także na jawie mogłam zobaczyć!

Usłyszawszy te słowa, stanąłem, jak wryty. Zdziwienie moje nie miało granic, a zdaje mi się, że i doktor Follen nie spodziewał się czegoś podobnego, bo i on nie mógł się zdobyć na słowo odpowiedzi.

W każdym razie zajście to nie musiało być dlań wielce przyjemnem, bo ochłonąwszy ze zdumienia, rzekł surowo:

— Tereso! moje dziecko! proszę cię bardzo, nie zapominaj się!...

— O mój ojcze, odpowiedziała panienka z tą samą żywością, co pierwej — ja się bynajmniej nie zapominam, ale czyż można uważać to za coś złego z mojej strony, jeśli serce me goręcej bije dla człowieka, który, po dwakroć uratował mi życie? O mój ojcze! Na tym punkcie ja nie myślę wcale krępować się jakiemiś głupiemi konwenansami!

I panna Teresa, mówiąc te słowa, znów utkwiła swój wzrok w mych źrenicach, a to spojrzenie było tak czułe, taka siła przebijała się w niem, że i ja odrazu uczułem w sercu budzącą się miłość do tego wiotkiego dziewczęcia.

Doktor Follen spojrzał na córkę i wzruszył z niechęcią ramionami. C. d. n.

# ANIOŁEK.

— Pan Łapiński w domu?
— Jest. Proszę do salonu.
— A! to pan, kochany panie Bańkiewicz?
— Przyszedłem, aby pomówić z panem w tym interesie....
— A... co do tych akcyi?
— Tak jest.
— Proszę — niechże pan usiądzie.
W drugim pokoju wrzask.
— Przepraszam... chwileczkę, pan pozwoli. Marysiu!... Maryś! czego aniołek płacze?
— Smaruje atramentem portret pani, a ja mu odebrałam.
— Nie drocz się z dzieckiem!... Przepraszam pana... te sługi, to krzyż prawdziwy. Więc tedy pan dobrodziej życzy sobie pomówić o tym interesie?... Jeżeli mam prawdę powiedzieć, tobym radził... Maryśka! co ty mu tam robisz?
— Nic, proszę pana.
— Licha tam nic, kiedy wrzeszczy! Najlepiej przynieś go tu do mnie, on się u mnie bawi najgrzeczniej. Przepraszam pana, że nudzę... Pan ma dzieci?
— Mam.
— No to pan wie, jak to z niemi! Ja mam jednego aniołeczka, którego panu zaraz zaprezentuję. Nadzwyczaj miły dzieciaczek, ale trochę słabowity, więc mu się nie sprzeciwiamy w niczem. Pójdź jedynaczku! Pójdź aniołku do nas! Idź, daj temu panu buzi.
— Nie ciem!
— Kaziuńciu, bądź grzeczny.
Aniołek przybiegł do mnie i ugryzł mnie w rękę. Ojciec się śmieje — ja się też śmieję... a chętniebym skłął. Ale człowiek musi panować nad sobą.
— Więc tedy powiada pan, że te akcye stoją obecnie dobrze?
— Doskonale. Idą ciągle w górę.
— Fe, aniołku, nie gryź tatki w kolano!... Idź, powiedz temu panu, co to robi babunia, gdy ty ją tłuczesz lichtarzem po głowie. No — pójdź koteczku! Powiadam panu, to rozkoszny bachorek, tylko się pana troszkę wstydzi. Co chcesz aniołku? Na stół? Pójdź!... Tak! Chcesz się bawić kałamarzem? A uważaj, żebyś nie rozlał atramentu.
— Pióło ciem!
— Masz pióro. Tak, mój przyjacielu. Dzieci zrobią z człowiekiem, co same chcą. Więc co do tych akcyj, ja myślę...
Aniołek pcha ojcu piuro do oka.
— Ciekaj! ja pichni!
— Bój się Boga, Kaziuńciu! Jakżesz pichniesz? wykolesz tatkowi oko.
— Sinia!
— A fe... to brzydko mówić tatusiowi świnia! Co to za łobuz — co?
— Bardzo miły dzieciaczek.
— A gdybyś pan wiedział, jak on nas tu wszystkich grzmoci, to satysfakcya! Moja teściowa ma pełno sińców na twarzy i na czole, bo ten hultaj co chwila łapie za kij i wali nas, co ma siły.
— A to figlarz!
— Niedawno omal sługi nie zabił. Szła z miasta, a on jej rzucił z balkonu wazon na głowę.
— Rany boskie!
— Płakał nam wtedy z godzinę, tupał nogami, kąsał nas ze żalu za rozbitym wazonkiem.
Bachor palnął kałamarzem w ziemię.
— Umm! — zaczął ryczeć.
— Aniołku słodki! Kaziuńciu! Co ci to?
— Umm! ciem mejona!
— Nie płacz, synku! Melona chcesz?
— Umm!
Matka, młoda, anemiczna, blondynka, wpada z drugiego pokoju i nie zważając na mnie, idzie prosto do męża.
— Czego mu dokuczasz? Co to jest? Kaziuńciu! dziecko! aniołku! nie płacz!
— Ciem mejonaaaa!
— Melona chce! Dlaczegoż mu bronisz?
— Ależ Zosiu... jakże ja mu mam dać melona? przecież go tu nie mam.
— To posłać do owocarni.
Aniołek ryczy, waląc nogami w stół.
— Mejoooona!
Kopnął nogą w alabastrową lampę, cylinder z umbrą rozbił się w drobne kawałki. Alabastrowy rezerwoar chwyciłem z ziemi nieuszkodzony.
— Cicho Kaziu! cicho aniołku! zaraz dostaniesz melona. Kaśka! leć duchem na dół do owocarni, kup melon. A ruszaj się gząbiu!
Kaśka wyleciała, jak oparzona. Biedny dzieciaczek szlochał rozpaczliwie, drąc ojca obiema rękami za wąsy.
Trzymają go oboje w objęciach. Pani ciągle rzuca wściekłe spojrzenia na męża.
Ja zaraz powiedziałam, że dziecko czegoś chce, a ty mu nie dasz!... Cicho, aniołku! o! masz tu nożyczki, masz... czekaj... o! masz tu książkę, krajaj sobie papierki. Zrobimy z tego śnieg! dobrze?
— Zosieńko... to „Potop“ Sienkiewicza.
— A co mnie tam Sienkiewicz! Kupisz sobie drugiego. Baw się Kaziuneczku, baw!
Bęben zaczyna krajać książkę, chlipiąc już tylko od czasu do czasu noskiem. Korzystam z małej przerwy.
— Więc jakże pan dobrodziej się decyduje? Niby z czem?
— Co do tych akcyj Towarzystwa?
— Właśnie chciałem się poradzić pana co do tej okoliczności, bo co do mnie... Uważaj, Kaziu! Wsadzisz sobie nożyczki do oczka. Czy Kaśka nie przyniosła tego melona?
- O! ten kulfon!... nim się wydrapie na drugie piętro!
— Synek rzucił książkę na ziemię. Matka schyliła się po nią, Kaziuńcio chciał zaglądnąć za matką, i... widocznie wielka głowa przeważyła, bo runął ze stołu na krzesło!...
Rodzice skoczyli z wrzaskiem.
— Aniołku! Synku złoty! Kaziuniu! Jezus Marya! Mogło się dziecko zabić!
Ale dziecko wrzeszczy, jakby je kto brał na noże, matka krzyczy ze strachu, ojciec z rozpaczy chwyta się za głowę — na szczęście wpada Kaśka z melonem.
— Masz melon, aniołku, masz!
Aniołek w jednej chwili zapomniał o upadku... Jakby mu kto ból ręką odjął, chwycił za melon i wbija zęby!...
— Czekaj, przyniosę nóż! – Matka wybiega do kuchni.
— Talerz! talerz przynieś! — woła ojciec za nią. — Przepraszam pana! przyniosę mu talerz.
— Wyleciał jak opętany za żoną.
— Ja tu, widzę, nie zrobię dziś inieresu – zawołałem zrozpaczony.
Sługa roześmiała się od ucha do ucha.
— O! panie... tu nikt nic nie zrobi, tu nikt nic nie znaczy, tu nie ma po co przychodzić z interesami... Tu każdy myśli tylko o... aniołku!
Chwyciłem za kapelusz i uciekłem bez pożegnania.
— To ci dopiero aniołek! Rany boskie!

*Pablo.*

---

## Zagadki do nagrody.

### Zadanie konikowe.

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| i | oj | bem | gna | na | ry | no | gam |
| strza | nych | zną | zu | wy | ra | tęsk | żu |
| czy | gro | chów | mio | wy | co | cią | próż |
| du | ska | w la | de | glo | rej | jes | nię |
| z do | łym | ko | ną | ty | mnie | na | któ |
| ną | chmur | gwia | już | o | bem | da | leś |
| gas | cham | sty | ną | że | nie | de | zda |
| nią | ur | za | cię | pu | la | mo | rem |

### Arytmogryf.

W niżej oznaczonych kombinacyach zamiast liczb, wstawić litery tak, aby w otrzymanych 19 wyrazach środkowe litery, czytane z góry na dół, utworzyły imię i nazwisko poety polskiego.

**Kombinacye:**

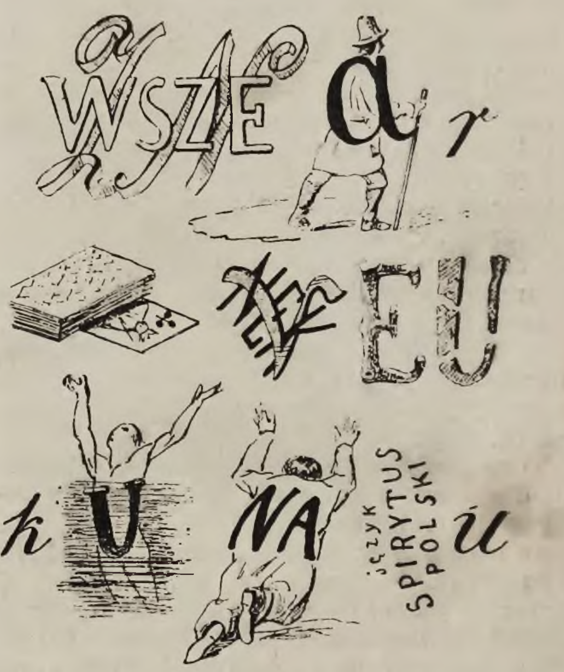
1 3 5 **17** 16 18 4
14 3 **5** 4 7
19 **4** 5
19 4 **18** 4 18
20 13 4 **8** 13 18 23
14 5 4 21 **16** 12 21 14 16
9 15 5 15 **21** 2 13 8 4
14 4 21 **2** 1 16 5
4 23 **15** 18 4
3 **14** 3
5 15 **14** 16 18
14 4 5 **4** 19 16 18
15 21 11 4 **5** 8 15 23 4
19 22 10 4 **11** 15 21 2 23
6 22 7 **16** 22 21 2
2 3 **12** 14 4
3 **21** 4
3 21 **14** 4 5
5 15 18 **16** 17 15 5

*Znaczenie wyrazów:* 1. Trucizna. 2. Zwierzę morskie niższej budowy. 3. Miasteczko na Podolu. 4. Drzewo owocowe. 5. Kwiat. 6. Poeta polski. 7. Rzeka w Galicyi. 8. Nazwa tkaniny. 9. Bogini grecka. 10. Część twarzy. 11. Ryba morska. 12. Broń. 13. Roślina strączkowa. 14. Miasto na Węgrzech. 15. Imię męskie. 16. Zdrobniałe imię żeńskie. 17. Owad. 18. Król szwedzki. 19. Zwierzę.

### Szarada zgłoskowa.

*Pierwsza – druga* zwykle bywa
Nasza dola nieszczęśliwa.
*Druga – trzecia* u każdego
Na języku – dla drugiego.
Na *całość* może spoglądasz w tej chwili,
Czasem cię gniewa, czasem czas umili.
Ale już *pierwsza!* Panowie i panie.
Zbyt łatwe macie już i tak zadanie!

### Rebus.




Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:
**„Rodzeństwo“**, powieść Huga Bertscha.

## Rozwiązania z Nru 9.

**Rebus**: Miłość bez grosza a spacer w ulewę długo nie potrwają.
**Logogryf**: Michał Bałucki. – Zamki na lodzie.
**Arytmogryf**: Olenka Billewiczówna.
**Zadanie konikowe**: I dziwię się tylko, że kwiaty
Pod twemi stopami nie rosną,
Ty złoty mój ptaku skrzydlaty,
Ty maju, ty raju, ty wiosno.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Kowalski, Lechowski, Josefert, Walczak, Ramoszyńska, Arbesbauer, Rupp, Paczoski, Sokulski, Rodakowska, Jerschinowa, ks. Domański, Dembiński, Denker, Majewicz, Bassara, Witoszyński, Rogalski, Biesłek, Machalica, Brzeziński, Pieczonka, Walter, Reczyński, Grabowska, Ramułtowa, Gadomski, Kobakówna, Parylakówna, Kisielewski, Kolbusz, Zaruski, Domain, Karpiński, Chrząszczowa,

Nagrodę przez losowanie otrzymała pani Jadwiga Rodakowska w Horodence. Prosimy o przysłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

---

## NADESŁANE.

(Za ten dział Redakcya nie odpowiada.)

# FABRYCZNY Skład Płótna i Bielizny stołowej

## M. Beyer i Spółka

**Kraków, Sukiennice Nr. 12, 13, 14.**

Zakład dla wyrobów ślubnych oraz magazyn bielizny męskiej, damskiej i dziecinnej · Główny skład bielizny wełnianej Prof. Dr. Gustawa Jaegera oraz wszelkich wyrobów trykotowych · Co dzień nowości w bluzkach i halkach .... Telefon 266.

---

**Najtaniej w Krakowie Grodzka 58**







Znakomitej dobroci **zegarki, zegary, budziki, OBRĄCZKI ŚLUBNE** łańcuszki, pierścionki, kolczyki i inne wyroby **złote i srebrne** urzędownie cechowane poleca **najtaniej**

**EMIL GOLDWASSER w Krakowie, ul. Grodzka l. 58**

6-15 Zlecenia z prowincyi załatwia sumiennie odwrotną pocztą.

Bogato ilusr. polskie **Cenniki** wysyła na żądanie darmo.



---

# WŁ. TOMASZEWSKI

## W KRAKOWIE, RYNEK L. 16

POLECA 2—18

**PORCELANĘ, SZKŁO, LAMPY**

**I HERBATĘ ROSYJSKĄ**

OD KOR. 2·80 DO KOR. 8·— ZA PÓŁ KILOGR.

---

**HOTEL I RESTAURACYA „METROPOLE“**

**KRAKOW, ULICA ŚW. GERTRUDY L. 28**

poleca Szan. P. T. Publiczności bardzo elegancko urządzona na wzór zagraniczny pokoje od 2 K wyżej. Obsługa szybka.

Hotel posiada 40 eleg. urządzonych na wzór zagraniczny pokoi od 2 K. Ogród z werandą.





Stacya kolei elektr. Telefon do użytku P. T. Gości. Obok hotelu gł. urząd poczt. i telegr.

Znakomita kuchnia domowa. Potrawy b. smaczne w wielkim wyborze po przystępnych cenach. Piwo pilzneńskie beczkowe. Obsługa szybka i rzetelna. Z poważaniem S. KUBIE.

---

# Bazar amerykański

## A. SCHEUER

**KRAKÓW, UL. GRODZKA L. 59/6**

poleca najładniejsze **ZABAWKI** i najgustowniejsze **PODARUNKI.**



Instrumenta muzyczne wszelkiego rodzaju najtaniej, jakoto: Harmonie, mandoliny, skrzypce, gitary, tudzież arystony i t. p.



Szachownice, Domina i różne gry towarzyskie.

**Huśtawki domowe i ogrodowe.**

Towary optyczne.

**KALOSZE ROSYJSKIE.**

Paryskie artykuły gumowe i hygieniczne.



**Klinika lalek na miejscu!**

Cenniki illustrowane darmo i opłatnie.

**Wystawa gwiazdkowa na I. p.**

---



**Spłaty częściowe!** dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

**Bezsprzecznie największy wybór!**

Renomowana i powszechnie znana firma

# Dom towarowy „AU LOUVRE“

**we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)**

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

**Dom towarowy „Au Louvre“**

5-14 **Lwów, Sykstuska 6.**

---



**FABRYKA CUKRÓW I HERBATNIKÓW**

# JANA HÖFLINGERA

**we Lwowie, ul. Teatralna l. 8 (pl. św. Ducha)**

w domu własnym

poleca **czekoladę Mickiewiczowską** w postaci medalionów **sztuka 20 hal.**

Dochód cały z rozsprzedaży pierwszych 10.000 sztuk na rzecz pomnika Mickiewicza we Lwowie

5-9 Dla PP. Kupców znaczny rabat.

**Herbatniki** sławne warszawskie 1 klg. K 3·60.

**Cukry deserowe** znakomite 1 „ K 4·40.

Zamówienia z prowincyi załatwia odwrotną pocztą.

---

Założona w roku 1836

**Fabryka spirytusu, rumu, rosolisów i likierów**

pod firmą

# Salo Goldfrucht

**w Zniesieniu obok Lwowa**

poleca znakomite wódki polskie, jak: kontoszówka, żytniówka, starka, koniak żytni 10-letni, ratafia, roztopczyn, z 1864 roku śliwkówka, gruszkowa, aprikotin i t. p. Wszystkie krajowe i zagraniczne rumy, jakoteż koniak francuski i śliwowicę węgier. Wysyłka pocztą w 5-kilowych flaszkach blaszanych. Cennik wysyła gratis i franko. 5—14

---

**M. BOJARSKI, ZEGARMISTRZ**

**W KRAKOWIE, UL. FLORYAŃSKA L. 4**

**poleca wielki skład zegarów kieszonkowych i zegarów pendułowych najlepszych fabryk.**

Przyjmuje reparacye

7-15

---



# HARRY FROMMER

**KRAKÓW, UL. GRODZKA L. 9**

FABRYCZNY SKŁAD

**KAPELUSZY I CYLINDRÓW**

BIELIZNA MĘSKA, KRAWATY

RĘKAWICZKI i t. p.

**NOWOŚCI KAŻDEGO SEZONU!**

**Towary najlepsze — Ceny najniższe!**

---

**NA RATY**

tygodniowe lub miesięczne można nabyć maszyny Singera do szycia i haftu, lustra, obrazy, zegary, dywany, portiery, chodniki, kapy na łóżka, meble żelazne itp. — Wielki wybór. Ceny bardzo przystępne.

**Arnold Fallek, Podgórze, Rynek gł. l. 10, I. piętro.**

---

**Kalendarzyk bankowy**

na rok 1905 rozsyłamy bezpłatnie. Sprzedajemy losy na spłaty taniej od firm zagranicznych i bez pośrednictwa agentów.

Polecamy: 1 los m. Krakowa, 1 los Bazylika, 1 los Joszi? za 155 kor., 31 rat po 5 koron. Za gazetę losowań, ani za czeki pocztowe nic nie liczymy.

**Schütz i Chajes, Dom bankowy we Lwowie, pl. Maryacki 7.**

---

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.